AS



Nr. 15
10 KWIETNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

MOTYWY WIOSENNE



Prima APRILIS i kaczki dziennikarskie

Od lat stał się „prima aprilis" przywilejem prasy. Co za wspaniały dzień! Kłamstwa, przez cały okrągły rok brzydkie i niebezpieczne, uchodzą bezkarnie! Rozpętane wodze fantazji wiodą inwencję na najbardziej szalone drogi. Od sensacyjnych, realistycznych pogłosek do münchausenowsko-vernowskich pomysłów, skala olbrzymia!

Co tu dużo gadać: „kaczki", to ulubiona igraszka dziennikarzy przez wszystkie 365 dni w roku. „Prima aprilis" to tylko zenit, święto!... Kiedyś napewno napisane zostanie o „kaczkach" długie, wyczerpujące dzieło, traktujące ich historję pod kątem widzenia kultury i socjologji. Narazie, nim to dzieło powstanie, zadowolmy się małym wstępem, szkicem do niego. Uczony sklasyfikuje niewątpliwie temat na działy: 1, „kaczki" z premedytacją, 2) „kaczki" fantazyjne, 3) „kaczki" reklamowe i 4) „kaczki' przypadkowe.

KACZKI Z PREMEDYTACJĄ.

Wysoce to niebezpieczna i ciężkostrawna potrawa, bardzo kusząca i atrakcyjna. Przyrządzają ją wyrafinowani „kucharze", ale dyspozycyj udzielają im ukryci w cieniu panowie.

Oto klasyczny przykład „kaczki" z premedytacją, „kaczki" na wielką skalę.

Pożoga wojny światowej już dogasała. Wiadomość o zawieszeniu broni w Europie podały w dodatkach nadzwyczajnych wielkie dzienniki New Yorku dnia 6-go listopada roku 1918. Stany Zjednoczone wpadły w istny szał. Wszelkie urzędy, sklepy i przedsiębiorstwa zostały zamknięte. Miljony święciły ten dawno oczekiwany dzień. W rzeczywistości wiadomość była przedwczesna: zawieszenie broni nastąpiło jak wiadomo, dopiero w 5 dni później — dnia 11-go listopada. Pewne koła bankierskie z Wall Street były zainteresowane w tej największej chyba w dziejach bombie, no i — rzuciły ją.

Koła bankierskie są zresztą często sprawcami nieprawdziwych wersyj, których efekt obliczony jest na zniżkę lub zwyżkę określonych papierów.

Wydziały prasowe ministerstw również zapładniają niejednokrotnie redakcje wiadomościami, które tylko w pewnym stopniu zbliżone są do prawdy. Świetnie nagiął do swych celów ambitną, obowiązkową prasę angielską „Foreign Office". Można już było ustalić jako regułę, że w chwili, gdy w dostojnym „Timesie" drukowana jest relacja o krwawych zaburzeniach w jakiejś kolonji francuskiej, w tej samej chwili odbywa się z całą pewnością rewolta w Indjach, lub innej posiadłości angielskiej. I odwrotnie: francuskie ministerstwo kolonij zawsze „puszczało" na fale prasy swoje zmyślone informacje o burzach w dominjach brytyjskich — wówczas, gdy szalały one we francuskich.

Nieskończoną ilość „kaczek" stworzył „Foreign Office" dookoła postaci pułkownika Lawrence'a. Człowiek ten umierał nieskończoną ilość razy, przyczem pogłoska o jego śmierci okazywała się fałszywa. Zdarzało się, że równocześnie dwie różne agencje telegraficzne, donosiły, że tego dnia pojawił się Lawrence w Damaszku i w Addis-Abebie. Każda z tych wiadomości miała być „pewna" i „prawdziwa". Aż wreszcie Lawrence umarł ponoć naprawdę: poniósł śmierć w wypadku motocyklowym pod Londynem. Ale szczegóły tego wypadku, jego sprecyzowanie geograficzne pozostały w tajemnicy. Czy Lawrence nie zmartwychwstanie znowu?

KACZKI FANTAZYJNE.

Danie to wyjątkowo pikantne. Ulubiony przysmak poetów, zatrudnionych w redakcjach.

Jedna z najwspanialszych kaczek tej kategorji urodziła się sto lat temu. W roku 1836-ym dzienniki podały, że znany astronom Herschel odkrył mieszkańców księżyca przez ogromny teleskop, zbudowany na Przylądku Dobrej Nadziei. Człowiek księżycowy mierzył wedle rzekomej relacji Herschla 120 cm. wysokości, miał skrzydła z cienkiej błony i krótkie, miedziane włosy. „Kaczka" ta wywołała wielką sensację w świecie naukowym, wielu badaczy przyjęło ją serjo. Herschel sprostował kategorycznie te brednie, ale długo jeszcze opowiadano o tych niezwykłych odkryciach.

A oto inny wypadek, w którym „kaczka" powstała nie wskutek fantazji dziennikarza, a przez złą wolę pewnego „podróżnika":

W grudniu 1909 roku wylądował w Kopenhadze dr Fryderyk Cook, rodem z Brooklynu, powracający z podróży poślubnej. Oświadczył on królowi Danji, że zdobył biegun północny w kwietniu 1908 roku. Naturalnie, że dr Cook zyskał sobie szalony rozgłos i prasa nie przestawała pisać o jego bohaterstwie i pionierskiej roli. Tymczasem inny badacz polarny, komandor Peary kablował do redakcyj, że był w połowie kwietnia na biegunie, ale żadnych śladów ekspedycji Cooka nie znalazł.

Śledztwo ujawniło, że Cook przekupił kapitana statku, który mu towarzyszył w podróży saniami i razem podali pomiary, stwierdzające ich obecność na biegunie. Tymczasem Peary udowodnił, że Cook nie był nigdy bliżej niż o 800 km. od magicznego punktu ziemi.

Dziełem prasy francuskiej był... człowiek, który nigdy nie istniał. W setkach artykułów i broszur podnosząc zasługi Hégésippe'a Simona, „prekursora", którego stulecie właśnie obchodzimy... Zainicjowano komitet budowy pomnika, cytowano wyssane z palca cytaty z dzieł, które nigdy nie zostały napisane...

Podobna, oparta na mistyfikacji, afera zdarzyła się całkiem niedawno, bo przed dwoma laty w Londynie, gdzie szereg wybitnych osobistości ze świata towarzyskiego otrzymało zaproszenia z poselstwa nieistniejącej Astorii na zaręczyny księżniczki, następczyni tronu astoryjskiego z Jego Ekscelencją księciem Krawonji.

Klasyczna, bardzo efektowna „kaczka" zdarzyła się przed laty kilkunastu w prasie polskiej Utalentowany figlarz napisał artykuł, w którym zastanawiał się dlaczego słonie żyją tak długo. — „Prosta rzecz — wyjaśnił dziennikarz: bo jedzą lukutate. — Lukutate? Jest to roślina, kwitnąca w Indjach, której owoce zapewniają długowieczność. Lukutate spożywają również krajowcy, którzy osiągają w ten sposób wiek 120 do 150 lat. Specjalna ekspedycja naukowa, złożona z przedstawicieli uniwersytetu londyńskiego udaje się wkrótce wgłąb Indyj dla badań. Naturalnie, nie omieszkamy podać w właściwym czasie bliższych szczegółów".

Wieści o lukutate przeszły wkrótce do prasy zagranicznej. W Berlinie, Paryżu, New Yorku pisano o lukutate, zrodzonej w głowie dziennikarza warszawskiego.

Pointa postawiona została dopiero po roku, gdy w jednym z dzienników w dziale ogłoszeń ukazało się takie cudo::

„Wyciąg z lukutate"
„Słoiki po 50 i 100 gramów"
„Znakomity środek wzmacniający"

Przed około 10-ciu laty Juljan Tuwim wraz z kilku humorystami warszawskimi wydali na prima aprilis numer dziennika — stuprocentowo „kawałowy", od wstępnego artykułu politycznego do ostatniego ogłoszenia drobnego. Czytało się tam więc, że „kwiczoły znowu wpadają przez lufciki do mieszkań", że „przed sądem pokoju stanął piorun, oskarżony o to, że trafił trzy osoby" itd etc.

KACZKI PRZYPADKOWE.

Niezwykła przygoda wydarzyła się w swoim czasie pewnemu redaktorowi warszawskiemu. Powtórzymy ją jego słowami:

„W czasach przedkryzysowych, kiedy mieszkańcy Warszawy nie żałowali pieniędzy na wódkę, ułożyłem figiel wielkanocny: zadanie z nagrodami. Zrobiłem plan miasta: Wisła, z jednej strony Praga, z drugiej śródmieście. Na mapce oznaczyłem główne ulice i kółkami — restauracje: „bar pod Wiechą", „Satyr", „Wir", „Kokos" itd. Pomysł polegał na błądzeniu po planie, był to więc rodzaj labiryntu.

Do zadania dopisałem objaśnienie, które brzmiało tak:

„Dwaj serdeczni przyjaciele z Pragi, panowie Frąckiewicz i Mazurkiewicz, po wzięciu tygodniówki udają się w sobotę pieszo do Warszawy. W barach po stronie prawej płaci Frąckiewicz, po lewej Mazurkiewicz. Jaką drogą prowadził kolegę pan Mazurkiewicz, jeżeli Frąckiewicz za wszystko musiał zapłacić? Zakreślić drogę na planie, wyciąć i nadesłać do redakcji.

Po upływie dwu dni świątecznych woźny uprzedza mnie, że będę musiał przyjąć interesantów. Byli to dwaj panowie o twarzach bardzo ponurych.

— Jestem Frąckiewicz — rzekł pierwszy.

— Jestem Mazurkiewicz — przedstawił się drugi.

A potem mieli do mnie przemowę, w której wyczułem gorycz:

— Czy to uchodzi, żeby porządna gazeta drukowała na nas szaradę? Za co nas to spotkało? Cóż to dziwnego, jeżeli my dwaj, mechanicy z warsztatów kolejowych Warszawa - Praga pójdziemy czasem na „jednego"? Czy my jedni chodzimy na wódkę do Warszawy? Cóż to za drań ułożył na nas szaradę!

Nazajutrz ukazało się sprostowanie, że pp. Frąckiewicz i Mazurkiewicz z warsztatów kolejowych na Pradze nie mają nic wspólnego z łamigłówką świąteczną".

*

W ostatnich czasach obserwuje się wyraźnie jakby wygasanie obyczaju primaaprilisowego. Nie trudno byłoby dociekać przyczyn tego stanu w zawrotnej karuzeli poważnych wydarzeń, absorbujących nas całkowicie. Prima aprilis staje się jakby świętem dzieci i młodzieży. Ale i starsi chętnie do niego wracają: miło jest poczuć się dzieckiem... **J. Leman.**

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm ... kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, sz... Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w ... kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy ... żadnych zastrzeżeń co do miejsca ... jemy

Numer 15 **Niedziela, 10 kwietnia 1938** **...K IV**

Już następny numer **wielkanocny** powiększony do 40 stron!



Parlament angielski, jak i cały naród brytyjski, zastanawiają się od dawna nad zagadnieniem zlikwidowania „dzielnic nędzarzy" Londynu i osławionych „slums". Wkrótce po wstąpieniu na tron król Jerzy VI zainteresował się tem zagadnieniem, zwiedzając domy biednej ludności. Obecnie, w związku z zbliżającemi się świętami, podjął wraz z królową podobną wycieczkę na przedmieścia Hoxton i Shoreditch w East-Endzie. Na naszem zdjęciu widzimy parę królewską w gościnie w jednym z tych domów. Wide-World Photos, Londyn

ASY NUMERU 15-GO: PRIMA APRILIS I KACZKI DZIENNIKARSKIE. Dzień 1 kwietnia daje i prasie okazję do pomysłowego wykorzystania zwyczaju zwodzenia bliźnich. (Str. 2). — KONFRATERNIA GARGANTUY. Obżarstwo i smakoszostwo jako cechy minionych stuleci znalazły oryginalne odbicie w współczesnej sztuce i literaturze. (Str. 4—5—6). — PTAKI NA CENZUROWANYM. Spacer po ogrodzie zoologicznym pozwala nam stwierdzić charakterystyczne cechy różnych zwierząt, które swą postacią czy ruchami nieraz przypominają ludzi. (Str.8). — LA GRANDE MADEMOISELLE. Życie kuzynki Ludwika XIV, jak również jej męża ks. de Lauzun, przypomina barwny romans Dumasa, odzwierciedlając równocześnie wszystkie jasne i ciemne strony dworskiego „grand train". (Str. 9—12). — WIELKIE I MAŁE ZDOBYCZE TECHNIKI. „Taksówka" w przestworzach, mówione listy i wiele innych wynalazków co chwila przyczynia się do udoskonalenia technicznych warunków bytu współczesnych ludzi. (Str. 14—15). — KATARZYNA HEPBURN — stuprocentowa gwiazda amerykańska. (Str. 16—17). — **Przebój muzyczny „Asa":** WIOSNA NARCIARZY. Tango — słowa i muzyka Władysława Bugayskiego. (Str 20). — O MAŁŻEŃSTWIE NA WYSPACH TROBRIANDZKICH. Życie ludów pierwotnych, zwłaszcza w dziedzinie zwyczajów rodzinnych, przedstawia się niezwykle ciekawie, ujawniając bardzo bogatą skalę obyczajową. (Str. 19 i 21). — GDY SŁUŻĄCA MA „WYCHODNE"... goście obsługują się sami (przepisy urządzenia domowego baru). (Str. 25). — BO NA WIOSNĘ PADA DESZCZ... O nowych modelach płaszczy nieprzemakalnych i innych wiosennych rekwizytach pięknej pani. (Str. 27—28—29). — Nowele. — Życie artystyczne. — Kącik filatelistyczny. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor i rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.

Oto Konfraternia GARGANTUY



Od dawien dawna dwa narody europejskie przywiązywały wielką wagę do smacznego i obfitego jedzenia: Francuzi i Polacy. Jednakże kuchnia polska nie zdołała wyjść poza granice swego kraju i zająć takiego stanowiska, jakie ma francuska. Ta ostatnia wciąż jeszcze przoduje w świecie smakoszy i gastronomów. Stąd francuskie nazwy potraw figurują w menu wszystkich lepszych restauracyj i większych przyjęć prywatnych.

Jedyna książka poświęcona jedzeniu, nie z punktu widzenia lekarskiego, ani też kuchennego, a traktująca wyłącznie o zmyśle smaku i jego przejawach, napisaną została w języku francuskim pod tytułem: „La Physiologie du Goût". Autorem tego dzieła był żyjący na przełomie XVIII i XIX stuleci Brillat Savarin, który wyżej cenił nadany mu przez współczesnych tytuł gastronoma. niż piastowaną godność radcy sądu apelacyjnego. Wybitne to dzieło tłumaczone na większość języków europejskich, prócz polskiego. jest we Francji bardzo popularne i każdy lepszy szef kuchni powinien znać na pamięć ustalone w nim prawidła dobrego smaku. Na ustalenie takich prawideł musiały złożyć się całe wieki. Historja kuchni francuskiej, opowiedziana pokrótce, nie da naturalnie obrazu tworzenia się niewzruszonych zasad kunsztu gastronomicznego, wskaże jedynie ewolucję, która doprowadziła tę, jak mówią Francuzi, sztukę kulinarną do wyżyn, na jakich się znajduje.



Sprzedawczyni truskawek w XVII w. (według sztychu Bonnarta).



Kucharz z wszelkiemi emblematami swej sztuki (według sztychu Larmessina z XVII w.).



Karykatura z początku XIX w. przedstawiająca scenę obiadową w oberży. Za oknem czeka już dyliżans na gości.

Sławny Rabelais, średniowieczny autor francuski, w swem dziele „Gargantua", satyrze na ówczesne obżarstwo społeczeństwa. pisze, iż ojciec bohatera, Grangousier, chcąc przyjąć syna swego Gargantuę, wydał na cześć jego ucztę, na którą się złożyło: szesnaście wołów, trzy jałówki, trzydzieści dwoje cieląt, sześćdziesiąt trzy koźląt, dziewięćdziesiąt pięć baranów, trzysta prosiąt, tysiąc sto dwadzieścia kuropatw, siedemset bekasów, oraz sześć tysięcy kurcząt, a na dodatek jedenaście dzików i siedemset dwadzieścia bażantów. Uczta była rzeczywiście obfita i młody człowiek miał co „na ząb położyć".

A tymczasem te stosy mięsiw, które nadzwyczajna wyobraźnia autora wyczarowała ku zabawie potomnych, wydają się bardzo skromnymi w porównaniu z ucztami, które rzeczywiście miały miejsce.

Jeszcze gdyby chodziło o zaspokojenie fantazji gastronomicznej jakiegoś szalonego monarchy! Tymczasem nic podobnego! Jest rzeczą znaną, iż zawsze. im bardziej chciano uczcić zaproszonych gości, tem obficiej dawano im jeść. Dopiero w XX wieku zrozumiano, że ilość potraw nie stanowi o gastronomicznej wartości obiadu.

Oto uczta w średniowiecznym zamku jakiegoś feudalnego księcia lub barona, wydana po wspaniałym turnieju: stoły nakryto w wielkiej sali, gdzie pan włości zwykł był sądy swe odprawiać. Kamienną posadzkę suto posypano tatarakiem. — W środku stoją stoły zrobione z desek opartych na drewnianych kozłach, a wokoło ciężkie ławy oczekują zaproszonych gości. Na stołach niema ani talerzy, ani widelców, ani noży, zato leżą tam grube bochny ciemnego, razowego chleba przez pół przekrajane, na które goście nakładają rękami wy-

bierane z mis i półmisków kawały mięsa, oblane gęstym, bardzo ostro przyprawionym sosem. Do picia służą cynowe kubki po jednym na dwoje biesiadników, zwykle damę i towarzysza jej rycerza.

Dla ówczesnych ludzi, jedzenie było czynnością nader ważną, uczta to wielka uroczystość. Po obwieszczeniu dźwiękiem trąb z wieży zamkowej o rozpoczęciu biesiady, goście zasiadali wokół stołów, umywszy wprzód ręce w misach podawanych przez paziów.

Każda potrawa musiała być próbowana, czy czasem nie była zatrutą. Próbę taką odbywano bądź to zbliżając do półmisków róg narwala, który miał zmianą zabarwienia wykazywać truciznę, bądź też każąc poprostu służbie kosztować potrawy.

Do dobrego tonu należało wówczas, by rycerz najprzód własnemi rękoma napełnił płat chleba swej towarzyszki, wybierając dla niej co lepsze kąski, a potem dopiero pomyślał o sobie. Gdy zapadał zmrok wchodzili żołnierze z pochodniami i ustawiali się wokół sali. Uczta trwała pięć — sześć godzin, a niekiedy całą noc. Co tam podawano? Ogromne ćwiercie wołów, całe barany, sarny, dziki, jelenie na ogromnych drewnianych półmiskach, niekiedy przez dwóch ludzi niesionych; a potem pawie z rozpostartemi ogonami, łabędzie, czaple, bażanty. Wszystko to obficie zakropione, używanym jeszcze wówczas na zachodzie miodem jako napojem, który następnie został tam zupełnie wyparty przez wino. Tak wyglądała uczta w czasach wczesnego średniowiecza. Mało zważano tam na jakość, przedewszystkiem chodziło o ilość!



Przybycie do oberży (według angielskiego sztychu E. Dayes'a z XVIII w.).



Na lewo: Paw stanowił od średniowiecza do XVIII w. przysmak, który podawano na najwytworniejszych stołach (sztych z r. 1502).

Z biegiem czasu uczty stają się bardziej wykwintne. Wprowadzają do nich pewien ład i porządek w podawaniu potraw.

Na wytwornych przyjęciach ukazują się obrusy, z czasem nawet zmieniano je za każdem podaniem. Naczynia srebrne i złote zastąpiły płaty chleba i ordynarne misy, wreszcie w siedemnastem stuleciu wszedł w użycie widelec, narazie na królewskich dworach jedynie. Gdzie indziej, tak jak dawniej jadano przy pomocy rąk, do dobrego tonu należało jednak, posługiwanie się wyłącznie trzema palcami.

Chociaż jadano lepiej, to nie znaczy, aby ilość jedzenia uległa zmniejszeniu. Oto na menu uczty, wydanej w czerwcu 1549 roku przez radę miejską Paryża dla królowej Katarzyny Medycejskiej, między innemi potrawami figurowało: trzydzieści pawi, sześćdziesiąt sześć jarząbków, trzydzieści trzy bażanty, sześć karmnych wieprzy, dwadzieścia i jeden łabędzi, trzydzieści trzy zające, sześćdziesiąt sześć królików, trzydzieści sarn, sześćdziesiątsześć indyków, dziewięćdziesiąt dziewięć kurcząt, sześćdziesiąt sześć pulard, dziewięćdziesiąt dziewięć przepiórek, dwadzieścia funtów szparagów, trzy garnce groszku zielonego, garniec fasoli i dwadzieścia tuzinów karczochów.

Zdaje się, że królowej obiad smakował, gdyż, jak podaje bezimienny kronikarz, tak się objadła, szczególniej zwierzyną i karczochami, iż „o mało nie pękła".

Dnia 30 marca 1571 roku arcybiskup Paryża przyjmował królowę Francji Elżbietę,

Poniżej: Uczta żarłoków (sztych z r. 1563).





Kuchnia z czasów renesansu, według rekonstrukcji na Wystawie światowej w Paryżu w r. 1900.

objadem postnym, na którym podano: cztery duże świeże łososie, dziesięć dużych turbotów, dwieście funtów stokfisza, pięćdziesiąt funtów ryb morskich, dwadzieścia homarów, kosz ostryg, osiemnaście pstrągów po półtorej stopy długich, dziewięć wielkich szczupaków, dwanaście dużych karpi, pięćdziesiąt karpi mniejszych, osiem szczupaków mniejszych, osiemnaście minogów, dwieście pięćdziesiąt dużych raków, dwieście śledzi wędzonych. dwieście śledzi marynowanych, dwadzieścia cztery kawały łososia wędzonego, osiemnaście węgorzy, trzy kosze innych ryb i sześć tysięcy żabek!

Królowie z rodu Burbonów lubili jeść dobrze i dużo. Zwłaszcza Ludwik XIV. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać w ucztach za jego panowania wydawanych, czy nadzwyczajną obfitość i różnorodność potraw, czy też majestatyczny przepych bankietów królewskich. Wśród całej okazałości wersalskiego pałacu, nawet codzienne królewskie obiady, których najdrobniejsze szczegóły wyreżyserowane były przez pedantyczną etykietę, zadziwiały świetnością, ale również niebywale komplikowały codzienność życia monarchy.

W chwili, gdy Ludwik XIV, poprzedzany przez kapitana gwardji swej i kilku szambelanów, a otoczony tłumem dworaków, zajmował miejsce przy ogromnym stole, za którym zasiadał i jadał zawsze sam. mistrz ceremonji wołał: „Potrawy królewskie". Wówczas rozpoczynała się defilada. Przodem szło dwóch gwadzistów z karabinami, za nimi czterech szambelanów, a potem około trzydziestu lokai niosących półmiski. Wkońcu postępowali pierwszy i drugi marszałkowie dworu, stolnik i podstoli, cześnik i podczaszy oraz urzędnicy królewskiej kuchni i spiżarni. Dwóch gwardzistów zamykało pochód.

Każde nabieranie potraw przez króla wymagało, zgodnie z etykietą, interwencji paru osób. Gdy król pił, ogłaszano to uroczyście wszystkim obecnym.

Oto menu jednego ze zwykłych, codziennych obiadów Ludwika XIV w Wersalu:

Zupy: Rosół z gołębi. Zupa żółwiowa. Zupa z kurcząt ze szparagami. Zupa na baraninie z kalarepką.

I podanie: Indyczka z malinami. Comber barani z figami. Cyranki w potrawce. Pieczeń wieprzowa w sosie szafranowym. Szynka sarnia. Pasztet z kapłonów z zapachem piżmowym. Mostek cielęcy faszerowany, szparagi, grzyby, karczochy. Ragoût z kogucich grzebieni.

II podanie: Czaple. Bażanty, Jarząbki. Jagnięta. Kuropatwy. Filety sarnie. Comber z dzika

III podanie: Uszy i nogi cielęce. Ozór i uszy jelenie. Wątróbka sarnia. Galareta z młodych jelenich rogów. Krowie wymiona. Pączki z tukiem. Paszteciki na smaku cytrynowym. Grzybki marynowane.

Deser: Ciastka. Tort z piżmem. Konfitury perfumowane. Móżdżek na wodzie różanej. Praliny. Kremy.

Ten niezwykle obfity obiad nie był jakąś specjalnie uroczystą ucztą. Ludwik XIV, nawet jak na owe czasy, był wielkim żarłokiem. Codziennie zjadał na obiad ze cztery talerze różnych zup i trzy do czterech potraw z każdego podania, poczem zwykł był jeszcze kosztować ze wszystkich półmisków deseru, dobierając z tych, które mu najlepiej smakowały. Ponadto wieczorem podadano mu solidną kolację, którą zwykle zjadał z apetytem.

Wobec tego codziennego menu, można sobie wyobrazić, jak wyglądały bankiety, wydawane podczas uroczystości dworskich, na których dookoła króla, otoczonego książętami rodziny królewskiej gromadziło się parę setek zaproszonych gości. Na ucztę weselną księcia Conti złożyło się trzy podania po sto sześćdziesiąt potraw każde. Zjedzono wówczas przeszło piętnaście tysięcy sztuk ortolanów.

Ówcześni ludzie znali się na kuchni, a często nawet wielcy panowie nietylko potrafili jeść, ale również i zadysponować wykwintny obiad, a nawet przypilnować jego wykonania. Nierzadko też sami przyrządzali jakąś potrawę, która wymagała specjalnych starań Przykładem może służyć marszałek książę de Richelieu, tkóry podczas wyprawy wojennej w Nadrenji wziął do niewoli pięćdziesięciu książąt różnych niemieckich rodzin panujących. Chcąc ich przyjąć wspaniale, kazał przygotować wystawną ucztę. Tymczasem okazało się, że zapasy spiżarni ograniczały się jedynie do mięsa z ostatniego wołu, zabitego przed chwilą, oraz niewielkich ilości przypraw kuchennych, a kraj dookoła wyniszczony wojną, niczego nie mógł dostarczyć. Książę. doświadczony gastronom, natychmiast podyktował następujące menu:

Zupa rumiana na rosole z naszego wołu.

Przystawki: Paszteciki z szczypiorkiem. Nerki z cebulką. Flaki z sosem cytrynowym. Szynka z naszego wołu z jarzynami.

I podanie: Ogon naszego wołu w purée z kasztanów. Ozór w potrawce. Mózg z konfiturami. Sztuka mięsa z selerami. Pasztet i purée z orzechów. Grzanki z tukiem.

II podanie: Polędwica z garniturem i sałatą. Pieczeń wołowa z galaretą pistacjową.

Deser: Tort z chleba na wołowym łoju. Auszpik na wołowym łoju z cytrynami, obsmażanymi w cukrze. Pączki na wołowym łoju. Nogi wołowe w konfiturze z pomarańcz. Galareta z wina Alicante.

Gaście marszałka de Richelieu jedli wyłącznie wołowinę, jednak byli z uczty bardzo zadowoleni.

I w dawnej Polsce jedzono również niesłychanie obficie. Zwłaszcza na Wielkanoc, gdy po długotrwałym, a surowo przestrzeganym wówczas Wielkim Poście, dorwali się ludzie do smacznego, tłustego jedzenia, pochłaniali niebywałe ilości, często ze szkodą dla zdrowia.

Przy końcu XVIII stulecia, a zwłaszcza w XIX, szczęśliwa zmiana zapatrywań powoduje przewrót w kuchni. Utwierdza się dążenie, aby ilość zastąpić jakością, żarłok ustępuje miejsca smakoszowi. Menu ulegają skróceniu, ale za to komplikuje się znacznie.

Dziś ludzie jedzą znacznie mniej, niż za dawnych czasów. Czy jedzą gorzej? Jak gdzie, jak czasem i jak za co. Postępy wiedzy lekarskiej, ujmującej funkcje jedzenia ze strony naukowej, wykazały całą szkodliwość nadmiernego opychania się. Przytem wyrobienie kulturalne zmieniło zasadniczo sposób odżywiania się u współczesnych, a dążenie do zachowania modnej, smukłej linji, zwłaszcza u pań, zmusza je częstokroć do przestrzegania surowej nieraz djety. Mimo to chyba niewielu jest ludzi, którzy mając okazję do zjedzenia dobrego obiadu, wyrzekną się tej przyjemności. W każdym razie jeżeli ludzie dzisiejsi jedzą mniej od swych przodków, to bezwątpienia jedzą znacznie wykwintniej.

Tadeusz Abdank Piotrowski.



Poniżej: Wnętrze kuchni cukierniczej w XVIII w.



KĄCIK

FILATELISTYCZNY

Niektórzy czytelnicy skarżą się, że podajemy później reprodukcje nowych znaczków polskich, aniżeli zagranicznych. Zaznaczamy, że wszystkie słowa życzliwej i fachowej krytyki przyjmujemy zawsze do wiadomości i uważamy, że tylko przez współpracę autora i czytelników, wiadomości tak rzadko spotykane w prasie polskiej, jak z dziedziny filatelistyki — mogą być aktualne i ciekawe. Trudno oczywiście zadowolić wszystkie wymagania. I nam przypadły do gustu wyrażenia p. X. z Poznania, w przyszłości też nie będziemy się zajmowali listami, skierowanemi do nas w formie „niepolitycznej".

Wielka wystawa zaczków, której organizacja jest w pełnym toku, przybiera coraz bardziej realne kształty. Mogą w niej brać udział tylko zrzeszeni zbieracze, a termin nadesłania wykazów z każdego klubu prowincjonalnego już upływa 5 kwietnia. O ile t. zw. powierzchnia zgłoszonych eksponatów nie wyczerpała już tej ilości, którą dysponuje komitet wystawy, termin ten będzie oczywiście przedłużony. Nie ulega natomiast już dzisiaj wątpliwości, że wystawa warszawska będzie największą manifestacją na rzecz filatelistyki, jaką dotychczas widzieliśmy w Polsce — i że zjedna nam wielu nowych kolegów-amatorów. Nie potrzebujemy zaś dodawać, że również kupcy skorzystają tam „coś nie coś", uzupełniając zbiory wystawiających.



Od góry ku dołowi: Najnowszy znaczek bułgarski, znaczki sowieckie, oraz najnowszy znaczek belgijski

Bardzo sympatyczny i oryginalny jest znaczek Bułgarji za dwie lewy, wydany w kolorze karminowo-brązowym i różowym. Przedstawia on ów cenny dla Rumelji kwiat róży. Płaski flakonik z różanym olejkiem, to stereotypowy prezent, który przywożą swym znajomym turyści, którzy byli kiedykolwiek w dolinie Maricy. Dziwną inowacją jest na tym znaczku napis w języku francuskim. Czyżby to miało być ułatwienie dla zbieraczy w ustaleniu pochodzenia znaczka?

Nie mamy zbytniego sentymentu do znaczków sowieckich, no i nie bardzo nam się wydaje, by chorągiew z sierpem, młotem i gwiazdą miała długo powiewać tak szumnie na północnym końcu osi, dookoła której kręci się nasz glob. Że w ten sposób jednak upamiętniono przelot nad biegunem (chyba dla celów naukowych a nie politycznych), to jest dzisiaj w świecie znaczków stale praktykowane. (Serja obejmuje 4 wartości za 10, 20, 40 i 80 kop. we formacie 27×37.

Również inny badacz okolic polarnych doczekał się znaczka pocztowego, jest nim Francuz Charcot. Egzemplarz z jego portretem za 65+35 c. zamieścimy w najbliższim Asie. W Belgji ukazała się znowu serja na cele dobroczynne, ale już i to lepsze, niż jakiś nowy a niespodziewany „bloczek".

* * *

Przed samem oddaniem numeru do druku otrzymaliśmy prospekt „Ogólnopolskiej V Wystawy Filatelistycznej Warszawa-1938".

Już sam wytworny układ wewnętrzny i wygląd prospektu każe rokować jak najlepsze nadzieje i jesteśmy przekonani, że obecnie, gdyż już zbieracze i kupcy branży filatelistycznej są zorganizowani, impreza urządzona ich wspólnym wysiłkiem będzie miała naprawdę „format" europejski.

Podajemy tu tylko to, co najważniejsze: a więc niema żadnych ograniczeń w rodzaju wystawionych zbiorów, z tem, że obcokrajowcom wolno wystawiać tylko zbiory znaczków polskich. Jest to niezwykle trafne pociągnięcie, gdyż zachęci ono właśnie cudzoziemców do skompletowania znaczków naszego kraju — a z drugiej strony w „klasach" zbiorów obcych nie mielibyśmy znów tak wiele do powiedzenia w konkurencji z zagranicą. Zobaczmyż więc najpierw to, co sami mamy najlepszego.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI. PT. „Stały Czytelnik", Jarosław. Bloki z obciętym marginesem mają znacznie mniejszą wartość. Sprawę tę omówimy w przyszłości dokładnie.

N. N. Białystok. Znaczki są cenne — 10 zł. za serję — prosimy o adres.

„Ptaki na cenzurowanem"



Obserwując niejednokrotnie zwierzęta, podpatrując ich ruchy i sposób zachowania się, śledząc mimikę, odnajdujemy jakieś podobieństwo i wspólny do pewnego stopnia rys między tymi czworonożnymi lub dwunożnymi stworzeniami a człowiekiem. Ileż to cech charakteryzujących zwierzęta znalazło swój wyraz w określaniu charakteru człowieka! Stąd poszły powiedzenia: odważny jak lew, wierny jak pies, tchórzliwy jak zając, chytry jak lis, dumny jak paw, kąśliwy jak osa i wiele jeszcze innych mniej lub więcej pochlebnych.

Obserwując fizjognomje zwierząt, zastanawia nas wielka różnorodność w ich wyrazie. Jedne ze zwierząt są poważne i jakby zamyślone, inne wesołe i ruchliwe, są typy flegmatyczne lub pełne temperamentu.

Gdy przypadkiem znajdziemy się w Zoo i zaczniemy robić przegląd zwierząt, będących przedstawicielami różnych grup systematycznych i mieszkańcami różnych krain, uderzy nas wielka różnorodność nie tylko w ich budowie, ale także w ruchach i usposobieniu.

Oto stoi przed nami oryginalna postać marabuta. Czyż nie ma on wyglądu jakiegoś starszego pana, nawet może filozofa, który duma nad sprawami tego świata? Poważny wzrok, jakby zatroskany, postać zgarbiona, jakgdyby uginająca się pod ciężarem wieku lub myśli. Wygląda trochę melancholijnie, myśli jego nie zdają się być wesołe. Może jest pesymistą? W niektórych okolicach Indyj nazywają go „adjutantem", gdyż miarowe jego kroki przypominają bardzo rytmiczny chód wojskowych. Ptak ten nie grzeszy urodą i bynajmniej nie podnosi jej duży skórzasty worek, zwisający z przodu szyi, który spowodował nazwanie marabuta przez Arabów „nosicielem wora".

A oto struś: może w pierwszej chwili wydaje się niezbyt ładny ze swoją długą i nagą szyją. Ma wprawdzie piękne bardzo pióra w ogonie i skrzydłach, wiotkie i delikatne, tak chętnie noszone, zwłaszcza dawniej przez panie jako piękna ozdoba ich stroju, nie każdemu jednak może przypaść do gustu jego uroda. Powszechnie zwracają uwagę jego piękne, czarne oczy, żywe i bystre. Doskonały wzrok pozwala mu zdaleka dojrzeć nieprzyjaciela. Struś żyjący na wolności, na stepach, przebywając razem ze stadami antylop, zeber i żyraf, jest niejako ich strażnikiem, który ucieczką swą daje znak, że niebezpieczeństwo grozi zwierzętom. To też wszystkie one zdają się zupełnie na strusia i uciekają razem z nim, gdy tylko da hasło do ucieczki.

Niektóre z pośród ptaków są okazałe, inne znowu drobne, jedne poważne i piękne, inne można nazwać brzydalami. Znajdują się wśród nich ptaki zwinne, pełne wdzięku w ruchach, inne zaś są niezgrabne o dość dziwacznym wyglądzie.

Spójrzmy na pelikana-babę. Ma on piękne upierzenie blado-różowe, ale jest dziwnie niezgrabny, jakiś nieproporcjonalny. Mała stosunkowo jego głowa opiera się na długiej szyi. — a szczególną ciekawostką jego ciała jest olbrzymi dziób, pod którym znajduje się skórzasta torba. Nie jest ona tam jednak bez ale. Wprawdzie nie stanowi ozdoby, ale za to jest bardzo wygodna. Gdy pelikan łowi ryby, składa je jakgdyby w worku, właśnie w owej skórzastej części dzioba i większą ilość zdobyczy może przynieść dla swych młodych.

Może nie brzydki, lecz jakiś niecodzienny wygląd ma tukan, mieszkaniec południowej Ameryki. Ptak ten dźwiga olbrzymi dziób i nieprawdopodobnem się wydaje, jak mała jego głowa może podołać takiemu ciężarowi. Okazuje się jednak, że ten dziób, który wielkością swą zwraca powszechną uwagę, jest w rzeczywistości bardzo lekki. Jest mocny, lecz bardzo porowaty i wskutek tego mało waży. Tukan jest ptakiem żywym i ruchliwym, wściubskim i ciekawym, zresztą patrzy z jego miny.

Przedstawicielką jednego z najbarwniejszych gatunków ptaków jest papuga. Ostrożnie trzeba się do niej zbliżać, gdyż jej dziób porządnie może się dać we znaki temu, kto nie przypadłby jej do gustu. O kimś, kto lubi jaskrawe i różnorodne barwy w swym stroju, mówi się często, że ubiera się jak papuga, zdarza się jeszcze częściej słyszeć, że ktoś paple jak papuga. Ptak ten bowiem umie naśladować głosy innych zwierząt, a nauczony przez człowieka, umie przemawiać ludzkim głosem. Naturalnie nie wszystkie gatunki papug posiadają ten talent.

Dokończenie na str. 31-ej.

Na prawo: Marabuta możnaby nazwać, sądząc po wyglądzie, „filozofem" wśród ptaków.

Poniżej: Jastrząb odznacza się „świdrującem" przykrem spojrzeniem swoich dalekowidzących oczu.





Powyżej: Łagodny wyraz posiada młody struś.

Pelikan — chociaż symbolizuje miłość macierzyńską — niema w sobie nic dobrotliwego i należy raczej do ptaków brzydkich.

Wszystkie zdjęcia: Presse-Photo.



HENRYK POTOCKI ★ SZKIC HISTORYCZNY

La Grande Mademoiselle

Z pośród wielu ze wszech miar ciekawych osobistości epoki Ludwika XIV, bezsprzecznie jedną z najbardziej oryginalnych jest postać księżny de Montpensier, zwanej „La Grande Mademoiselle“[1]). Życie jej — to pasjonujący romans, w którym bohaterstwo sąsiaduje ze śmiesznością, wielkość z małostkowością, romantyzm z cynizmem — to dzieje kobiety, która, mogąc zostać jedną z najwybitniejszych jednostek swojej epoki, skończyła w śmieszności i poniżeniu.

Natura nie poskąpiła jej niczego: jako wnuczka Henryka IV, była blisko spokrewniona z wieloma domami panującemi Europy; po matce odziedziczyła majątki, które czyniły ją najbogatszą kobietę Francji; nie była brzydka; posiadała duże zalety charakteru, była dzielna, bystra, inteligentna, przedsiębiorcza. Oczywiście wielką przeszkodą w jej życiu była kompletnie zaniedbana edukacja, ale przy swojej inteligencji mogła łatwo ten mankament usunąć. Niestety nie posiadając zupełnie samokrytycyzmu, zdrowego sądu i poczucia rzeczywistości, nie widziała w sobie żadnych wad i do końca życia miała o sobie bardzo wysokie mniemanie. Najlepszą tego ilustracją jest sposób, w jaki charakteryzuje siebie w swoich pamiętnikach.

„Jestem duża, ani tłusta, ani chuda; o figurze bardzo pięknej i bardzo zręcznej. Dobrze wyglądam; pierś dosyć zgrabna; ramiona i ręce nie piękne, ale skóra piękna. Nogę mam prostą i stopę zgrabną; mam blond włosy o pięknym szarym odcieniu, twarz moja jest długa, owal jej jest ładny; nos duży, orli; usta ani duże, ani małe, ale ukształtowane w sposób bardzo przyjemny; wargi czerwone, zęby nieładne, ale również nie okropne; oczy moje są niebieskie, ani duże ani małe, lecz błyszczące, słodkie i dumne, jak moja mina...

„Jestem grzeczna i swojska, ale w sposób, który pociąga za sobą raczej respekt... Jestem bardzo niedbała w ubiorze, ale nie graniczy to z niechlujstwem, którego nienawidzę... Zaniedbana, czy przystrojona — wszystko co wkładam, dobrze wygląda. — Czuję się bardzo dzielna. Mam wiele odwagi i ambicji. Lubię skrzypce bardziej, aniżeli każdą inną muzykę. Lubiłam tańczyć i tańczę bardzo dobrze... Umiem zająć się każdym rodzajem prac, co stanowi dla mnie taką samą rozrywkę, jak polowanie i jazda konna... Mam dobrą pamięć i nie brak mi zdrowego sądu...“.

Uważając siebie za jednostkę, wybitną pod każdym względem, nie chciała się zadowolić pozycją, którą zapewniały jej majątek i urodzenie. Od najmłodszych lat marzyła o wielkich czynach, chciała zadziwić świat swem bohaterstwem, chciała odegrać jakąś wybitną rolę w życiu towarzyskiem i politycznem. Środkiem, który miał najskuteczniej jej w tem dopomóc, miało być jakieś wspaniałe małżeństwo.

Od dziecka miała zaprzątniętą głowę różnemi, mniej lub więcej nierealnemi projektami matrymonialnemi. — Wkrótce po przyjściu na świat Ludwika XIV (miała wówczas 11 lat), Anna Austrjaczka nazwała ją swoją przyszłą synową. Wzięła to na serjo i odtąd, bawiąc się z malenkim następcą tronu, nazywała go swoim małym mężem. Miała lat 13, kiedy Richelieu zwrócił jej uwagę na niewłaściwość tego postępowania. Było to jej pierwsze rozczarowanie matrymonialne. Królowa pocieszyła ją, obiecując małżeństwo z kardynałem-infantem, regentem Holandji. Niestety śmierć infanta zniweczyła i ten projekt. Rozpacz i tym razem trwała krótko, bo zaraz przedstawiono jej nowego kandydata, hrabiego de Soissons. Wprawdzie miał on już 38 lat, był od niej o 24 lata starszy, ale — pocieszała się — starszy mąż ma także swoje dobre strony. Niestety małżeństwo nie doszło do skutku, bo hr. de Soissons padł na polu walki. Przez krótki czas łudziła się, że zostanie królową Polski; — niestety Władysław IV wybrał Marję Gonzaga.

Miała zaledwie 18 lat, a przeżyła już tyle rozczarowań. Na szczęście serce jej nie było ani razu zaangażowane w tych projektach matrymonialnych. Miłość — to było niskie uczucie, którem gardziła. „Miałam zawsze wielką odrazę do miłości... tak to uczucie wydaje mi się niegodne wielkiej duszy“ — oto znamienne zdanie, figurujące w jej pamiętnikach. Przy wyborze małżonka nie kierowała się prawie zupełnie upodobaniami osobistemi, zważała tylko na jego urodzenie i stanowisko w świecie. — I dlatego po każdem rozczarowaniu szybko przychodziła do siebie. — Tylu było przecież królów i książąt do wzięcia, a ona dla każdego przedstawiała doskonałą „partję“.

Znalazł się nowy pretendent do jej ręki: książę Walji, syn Karola I, przebywający przymusowo we Francji. Mademoiselle namyślała się poważnie nad tym kandydatem. Był wprawdzie dziedzicem korony angielskiej, ale czy zasiądzie na tronie? Wszystko przemawiało raczej za tem, że nie, bo Karol I. był zwyciężony przez rewolucjonistów i stał wobec widma szafotu. Ale z drugiej strony miała przed sobą jakże piękną perspektywę: rzucenie na szalę wypadków swoich bogactw i dopomożenie mężowi do odzyskania tronu. Ostatecznie zdecydowała się poznać księcia Walji i decyzję swą uzależniła od wrażenia, jakie na niej wywrze. Niestety wrażenie to było jak najgorsze. — W czasie obiadu, który młodzi jedli w towarzystwie Anny Austrjackiej, książę zajął się skwapliwie konsumowaniem potraw i nie zwracał zupełnie uwagi na Mademoiselle. Potem, kiedy królowa zostawiła ich samych, siedział w milczeniu i w ciągu kwadransa nie wypowiedział ani jednego słowa. Dopiero przy pożegnaniu zdobył się na oświadczenie, że jego sekretarz, który lepiej mówi od niego, wyrazi jego uczucia i zamiary.

Mademoiselle starała się wytłómaczyć jego postępowanie raczej respektem, niż brakiem uczucia, „ale — dodaje z pewnem rozczarowaniem — przyznaję, że wolałabym, aby przy tem spotkaniu okazał mi go mniej“.

Niefortunny pretendent nie zrezygnował z jej ręki i w parę lat potem, już jako król, uznany przez Szkotów, ponowił swoją prośbę. Tym razem okazał się podobno znacznie rozmowniejszy i wywarł na Mademoiselle duże wrażenie. Jeżeli nie wyszła jednak za niego, to tylko dlatego, że chciała zadać kłam pogłoskom, jakoby wychodziła zamąż z miłości. Nie zniosłaby tego, żeby sądzono, że ona mogła się poddać tak niskiemu, niegodnemu jej wielkiej duszy uczuciu. Złośliwi twierdzą, że właściwym powodem były lekkomyślnie wygłaszane przez otoczenie Karola II projekty, dotyczące majątków przyszłej żony. Wydaje się to o tyle prawdopodobne, że Karol II był stale bez pieniędzy i jeszcze jako król angielski, pobierał pensję od Ludwika XIV.

W ten sposób Mademoiselle straciła okazję zostania królową angielską[2]). Nie traciła jednak nadziei ozdobienia swoich skroni koroną. Właśnie owdowiał Ferdynand III, dlaczegóżby nie miał się z nią ożenić. Ponieważ słyszała, że był bardzo pobożny, stała się dewotką, całe dnie spędzała na modlitwie, poszła nawet tak daleko w swej pobożności, że postanowiła nie przylepiać sobie muszek i nie pudrować włosów. Ofiary te nie przyniosły jednak pożądanego rezultatu. Ferdynand III, który najprawdopodobniej nie wiedział nawet o jej zamiarach, dotyczących jego osoby, ożenił się z kim innym.

Po każdem niepowodzeniu, Mademoiselle wracała do najmilszego dla niej projektu poślubienia Ludwika XIV. Z tą myślą przystąpiła do Frondy[3], aby w razie zwycięstwa, postawić zwyciężonemu dworowi jako warunek zgodę na jej małżeństwo z królem. W razie gdyby się to nie udało, miała przystępując do Frondy, jeszcze inną możliwość, a mianowicie małżeństwo z księciem de Condé, którego żona była bardzo ciężko chora i miała lada chwila umrzeć.

Nieszczęście chciało, że księżna de Condé wyzdrowiała, a powstanie, ku zrozumiałej rozpaczy Mademoiselle zakończyło się zwycięstwem króla. Potrzeba przyznać, że robiła wszystko, aby sprawa przybrała inny, korzystny dla niej obrót. Obok księcia de Condé, była najdzielniejszym wodzem frondystów. Z prawdziwem bohaterstwem i zupełnie męską odwagą, zdobyła na czele małego oddziału żołnierzy, potężną twierdzę, Orlean. W czasie walk w Paryżu ona uratowała księcia de Condé, strzelając (podobno własnoręcznie przykładała lont) z armat Bastylji do wojsk królewskich. Czyn ten, który wprawdzie przedłużył walki o kilka miesięcy, ale dla niej samej miał fatalne następstwa. Mazarin na odgłos strzałów powiedział: „Mademoiselle zabiła właśnie swego męża“. I rzeczywiście nie mogło być już teraz mowy o jej małżeństwie z królem, bo Ludwik XIV nigdy nie wybaczył jej tych strzałów i do końca jej życia odnosił się do niej z nieukrywaną niechęcią.

Po zwycięstwie dworu, Mademisellе udała się do jednego ze swoich zamków, gdzie przebywała przez 5 lat. Nie zaniechała bynajmniej projektów matrymonialnych i rozglądała się po świecie w poszukiwaniu odpowiedniego męża. Odwiedził ją jezuita, wysłany przez księcia Neuburskiego z propozycją małżeństwa. Wytrawny dyplomata w sutannie zaopatrzył się w list miłosny i portret kandydata. Wychwalając go pod niebiosy, opowiadał, że jego pierwsza żona tak go kochała, że widząc go wracającego z podróży, umarła z radości. Mimo tych rekomendacyj, kandydat nie odpowiadał

---

[1]) Księżna de Montpensier 1627—1693, córka Gastona, brata Ludwika XIII. Jako córka brata królewskiego, nosiła tytuł Mademoiselle; potem, gdy tytuł ten otrzymały zwyczajowo córki Filipa, brata Ludwika XIV, nazwano ją dla odróżnienia La Grande Mademoiselle.

[2]) W 10 lat potem Karol II ponowił swoją prośbę. Tym razem Mademoiselle kazała mu odpowiedzieć, że byłoby nieładnie przyjmować jego propozycję teraz, gdy był panującym, odmówiwszy, gdy był wygnańcem.

[3]) Fronda — rozruchy powstańcze parlamentu i arystokracji (1648—1653) przeciw rządom Mazariniego. Mademoiselle przystąpiła do niej w 1651 r.

Mademoiselle; kazała odpowiedzieć, że obawia się miłości, która i dla niej mogłaby skończyć się również tragicznie.

Po 5 latach wygnania, prosiła wreszcie króla o przebaczenie. Otrzymawszy je, udała się do Paryża i rzuciła się w wir życia dworskiego. Otrzymała kilka propozycyj, między innemi od króla portugalskiego, ale odrzuciła je. Wolała być „Mademoiselle“ we Francji z 500.000 funtów dochodu, niż królową portugalską. Była to ostatnia propozycja, nad którą mogła się zastanowić, wkrótce bowiem zaszła w jej usposobieniu zmiana, która stała się punktem zwrotnym w jej życiu.

W r. 1659 na jednym z bali dworskich przedstawiono jej księcia de Lauzun [4]). Wywarł on na niej olbrzymie wrażenie, mimo, że w tym okresie był biednym nic nie znaczącym młodzieńcem. Spotykała go ciągle na dworze i po pewnym czasie zakochała się w nim na śmierć. Stała się niewolnicą miłości — uczucia., którem tak długo gardziła. Skończyły się wszelkie projekty matrymonjalne, skończyły się marzenia o bohaterskich czynach. a została miłość i jedynym człowiekiem, dla którego chciała żyć — był Lauzun.

[4]) Antoni Nompar, markiz de Puyguilhelm, hrabia de Lauzun, od 1692 książę de Lauzun. 1632—1723. Dla ułatwienia nazywam go odrazu ks de Lauzun.

Był on bezsprzecznie najfantastyczniejszą postacią epoki Ludwika XIV. Jego karjera życiowa była tak niezwykła, że kiedy będąc w więzieniu, opowiadał o niej Foupet'owi, uwięzionemu już od kilku lat, ten wziął go za warjata. O nim to pisano: „Jego życie to powieść; nie brak jej prawdopodobieństwa; to sen; Co mówię, nie można nawet śnić tak, jak on żył...“.

Młodszy syn szlachcica gaskońskiego przybył do Paryża po sławę i majątek, W salonach hrabiny de Soissons, ówczesnej królowej towarzystwa francuskiego, poznał króla i odrazu potrafił zdobyć jego sympatję. W ciągu krótkiego stosunkowo czasu ze skromnego młodzieńca doszedł do najwyższych godności państwowych i dworskich. Został najpierw komendantem kompanji dragonów dworskich, potem szefem dragonji — godność specjalnie dla niego stworzona — marszałkiem, głównodowodzącym armji w czasie jednej kampanji, wreszcie dowódcą gwardji dworskiej. Trudno wymienić wszystkie szczeble tej fantastycznej karjery. Król zaszczycał go swoją przyjaźnią i powierzał mu wiele ważnych funkcyj tak politycznej, jak i prywatnej natury. Czuł do niego pewną słabość, znosił jego humory, patrzył przez palce na to, za co inni byli zamykani w Bastylji. Napewno nie darzyłby bo takiem zaufaniem, gdyby się dowiedział, że w wielu wypadkach Lauzun był szczęśliwym jego rywalem w dziedzinie miłości.

Bo i na tem polu miał on szczęście nieprawdopodbne. Był postrachem mężów i matek panien na wydaniu, gdyż wszystkie kobiety, któremi chciał sę zainteresować ulegały mu. Należał do kategoryj tych mężczyzn, którzy nic sobie z kobiet nie robią a mimo to, a może właśnie dlatego, są przez nie rozrywani.

Niezwykłe dzieje jego życia kazałyby widzieć w nim człowieka hojnie obdarzonego przez naturę w zalety wewnętrzne i zewnętrzne. Tymczasem współcześni przedstawiają go zupełnie inaczej. Saint Simon opisuje go jako małego człowieczka, „blondasse“, dobrze zbudowanego, brudnego, o twarzy niełądnej, ale znamionującej bystrość i pewność siebie. Nie cechowały go bynajmniej jakieś wybitne zalety charakteru. Był pełen ambicji, kaprysów, fantazji, zazdrosny o wszysko, nigdy z niczego niezadowolony, bez żadnych wiadomości naukowych i artystycznych, bez najmniejszego wdzięku umysłowego, przytem samotnik, zły i złośliwy z natury, a jeszcze bardziej przez zazdrość i ambicję. Jeżeli — co zdarzało się bardzo rzadko — darzył kogo przyjaźnią, to był dobrym przyjacielem, ale najczęściej był wrogiem wszystkich, nawet osób zupełnie mu obojętnych; dla tych był groźny, bo skory do ukrzywdzenia i ośmieszenia. Niebywałe jego powodzenie można wytłumaczyć tem chyba, że był niezwykle dzielny, śmiały i bezczelny, przytem dworak w każdym calu, drwiący, zuchwały, a jednocześnie usłużny, uniżony aż do służalczości, pełen pomysłów, intryg, a nawet podłostek, jeżeli chodziło o przypodobanie się, lub osiągnięcie jakiegoś celu.

Kobiety traktował jak najgorzej, był brutalny, a mimo to cieszył się niesłychanem wprost niewiarygodnem powodzeniem. Jedną z jego kochanek była księżna de Monaco. Obchodził się z nią fatalnie. Kiedyś, gdy postąpiła wbrew jego życzeniom, nie zrobił swoim zwyczajem awantury, lecz widząc ją kiedyś siedzącą w grupie pań na ziemi obok Madame, podszedł i w trakcie miłej rozmowy stanął nieznacznie obcasem na jej opartej na podłodze dłoni, zakręcił się na tym obcasie i nie oglądając się odszedł. Księżna Monaco tak się go bała, że nie krzyknęła nawet.

Obawa ta nie przeszkadzała jej jednak romansować z królem. Lauzun wiedział o tem i wypenetrował nawet, któremi schodami i o jakiej godzinie przychodziła ona do swego królewskiego kochanka. Przed jednem z takich spotkań schował się w ubikacji obok drzwi do gabinetu króla. Przez szparę widział, jak Ludwik XIV wyszedł z gabinetu i włożył klucz do zamku na zewnątrz drzwi. Poczekał chwilę i kiedy przypuszczał, że król oddalił się do dalszych pokoi, wyszedł, przekręcił klucz dwa razy w zamku, wyjął i zabrał ze sobą do ubikacji.

Po chwili przyprowadził Bontemps księżnę de Monaco i zdumiał się, nie znalazłszy klucza, który normalnie w tych okolicznościach tkwił w zamku. Myśląc, że król zapomniał go włożyć, zapukał, aby dać znać o swojem przybyciu. Ludwik XIV, którego zdziwił również brak klucza, starał się najpierw napróżno otworzyć zamknięte drzwi, wreszcie polecić szukać klucza pod drzwia-

Dokończenie na str. 12-tej.

FORMA I BARWA W MALARSTWIE
JANA HRYŃKOWSKIEGO



„Port Vendres", obraz olejny.



„Owoce", obraz olejny.

W śród licznej plejady zwolenników, lecz nie bezdusznych naśladowców Ecole de Paris wybija się swym talentem na przodujące stanowisko krakowski artysta-malarz Jan Hryńkowski, jako samodzielny twórca i sumienny poszukiwacz koloru, jako jedynej treści oraz wyrazu formy w obrazie.

Postawą estetyczną Hryńkowskiego jest spojrzenie na rzeczywistość wyłącznie z punktu widzenia barwy. Hryńkowski lubuje się za Matisse'm, w zestawieniach żywych, barwnych plam, przeprowadzonych w gamach o skali jasnej zieleni, żółtości, czerwieni i błękitu.

Formę buduje w obrazie nie ustępliwie kolorem, a nawet w rysunku podkreśla walor barwy, obserwując przedmioty od tej strony, a nie formy.

Jan Hryńkowski niema nic wspólnego z anonimowem malarstwem paryskiem, lecz wziąwszy zdobycze nowoczesnej faktury, sam przeszedł swą własną wewnętrzną ewolucję od analitycznej metody ścisłego impresjonizmu do tworzenia kompozycji zapomocą wielkich, jasnych płaszczyzn w duchu matissowskiej syntezy. Żywot artysty, to nieustępliwa bezkompromisowa walka o możność wypowiedzenia swej własnej malarskiej prawdy. Talent Hryńkowskiego niezwykle pobudliwy i rafinowany w odczuwaniu subtelnem barwnych tonacyj nie był dotąd należycie wyzyskany dla dekoracyjnych celów. Cieszyć się należy, iż w ostatnim czasie ten z krwi i kości malarz otrzymał poważne zamówienia dla ozdobienia jednego z wnętrz reprezentacyjnych budowli rządowej w stolicy.

Hryńkowski otrzymał w 1936 r. nagrodę honorową IPS-u, w r. 1937 MSZ-u, a na Salonie Malarskim 1938 nagrodę M. S. W. Dyrekcja zbiorów państwowych zakupiła dzieła artysty, a otrzymane z M. W. R. i O. P. stypendjum umożliwiło utalentowanemu artyście wyjazd zagranicę.

mdd.



„Chłopiec przy studni", rysunek tuszem.



Powyżej: „Wieś polska", rysunek tuszem.



Na prawo: Portret damy z papierosem, obraz olejny.



Na lewo: „Dzieci na łące", rysunek tuszem.

Dokończenie ze str. 10-ej.

mi. Lauzun śledził przez szparę poruszenia księżny, daremnie szukającej klucza i słyszał całą rozmowę kochanków, oddzielonych fatalnemi drzwiami. Można sobie wyobrazić wściekłość króla z powodu nieprzewidzianej przeszkody i satysfakcję Lauzun'a. Napróżno szukano klucza, napróżno starał się król z pomocą Bontemps'a wyważyć drzwi. Spotkanie, ku wielkiemu zadowoleniu autora tego złośliwego figla, nie doszło do skutku.

Lauzun starał się o stanowisko generała artylerji. Król początkowo przyrzekł mu je, potem jednak, na skutek perswazji ministra Louvois, postanowił oddać je komu innemu. Zanim jeszcze sprawa została ostatecznie załatwiona, Lauzun wyczuł, że szanse jego są niewielkie. Nie chcąc rezygnować z tego zaszczytnego i popłatnego stanowiska, poprosił o interwencję panią de Montespan i otrzymał od niej przyrzeczenie wstawienia się za nim u króla. Chcąc osobiście przekonać się, w jaki sposób spełni ona swą obietnicę, wykorzystał swój więcej niż zażyły stosunek z jej pokojową i z jej pomocą dostał się na krótko przed wizytą króla pod łóżko faworyty. Potrzeba przyznać, że miejsce wprawdzie niesłychanie niebezpieczne i grożące w każdej chwili wykryciem śmiałka, było wymarzonym punktem obserwacyjnym. Lauzun nie mógł oczywiście widzieć tego, co działo się nad nim, ale słyszał wszystko i nie uronił ani jednego słowa z rozmowy kochanków. Ze złością musiał słuchać, jak Montespan zamiast przemawiać za nim, starała się jeszcze bardziej pogrzebać go w oczach króla. Ze zrozumiałych względów nie mógł zareagować natychmiast; musiał czekać, aż kochankowie opuszczą łoże i po uzupełnieniu garderoby wyjdą z pokoju. Wówczas dopiero wyszedł ze swej kryjówki, ale nie opuścił bynajmniej apartamentów faworyty. Poczekał, aż markiza przebierająca się na próbę baletu, ukazała się na korytarzu i zapytał o wynik jej rozmowy z królem. Montespan zapewniła go, że jego sprawa znajduje się na jak najlepszej drodze, zdała niby to dokładne sprawozdanie z przebiegu konwersacyj, odpowiedziała na szereg pytań i oczekiwała prawdopodobnie gorących podziękowań. Musiała być niezmiernie zdziwiona, gdy Lauzun zamiast dziękować, obrzucił ją wyzwiskami, które chociaż historyczne, nie nadają się niestety do powtórzenia, bo najłagodniejszemi z pośród nich były: kłamczyni, ladacznica i szelma. Zdziwienie jej zamieniło się w przerażenie, gdy usłyszała dokładną relację z jej rozmowy z królem. Nieprzytomna prawie doszła do sali, w której próba baletu miała miejsce i ledwo się tam znalazła, padła zemdlona ku przerażeniu obecnych[5]). Ludwik XIV, dowiedziawszy się o tem zdarzeniu, był niemniej od niej zdumiony.

Lauzun tymczasem nie czekał na skutki swego szalonego kroku, lecz ze śmiałością jemu tylko właściwą zapytał wprost króla, czy dotrzyma obietnicy. Otrzymawszy odpowiedź odmowną ,wyjął szpadę, złamał ją na kolanie i oznajmił ze złością, że nie będzie już nigdy służył monarsze, który nie dotrzymuje danego słowa. Ludwik XIV z trudnością pohamował się; w pierwszej chwili chciał zbić zuchwalca laską — ale nie, wyrzucił ją przez okno, powiedział, że byłoby mu przykro zbić kijem szlachcica i wyszedł z pokoju.

Następnego dnia Lauzun został zamknięty w Bastylji. Nie siedział w niej długo, bo król, ochłonąwszy ze złości, ofiarował mu na znak łaski godność dowódcy gwardji dworskiej. Lauzun jednak, udając obrażonego, odmówił i dopiero na skutek namowy przyjaciół raczył przyjąć ofiarowane mu stanowisko.

Mademoiselle poznała Lauzun'a w 1659 r., ale minęło wiele lat, zanim zdała sobie sprawę ze swego uczucia. Miała 43 lata, kiedy zdecydowała się wyjść za niego zamąż.

Lauzun był zbyt wielkim znawcą kobiecych dusz, aby nie wiedzieć, co się działo w sercu Mademoiselle Był jednak jednocześnie zbyt wytrawnym dyplomatą i dworakiem, aby ryzykować ze swej strony jakieś śmielsze awanse. Grał wielką grę: wiedział, że to była jego szansa życiowa, ukoronowanie jego niezwykłej karjery i dlatego nie chciał jej stracić przez jakieś niezręczne posunięcie. Mógł skłonić Mademoiselle, aby została jego kochanką, ale zbyt wielka była przpaść pomiędzy nim — skromnym szlachcicem gaskońskim — a tą wnuczką Henryka IV, aby śmiał zaryzykować propozycję małżeństwa. Propozycja ta mogła wyjść jedynie od Mademoiselle.

Udawał więc, że nie dostrzega jej strzelistych spojrzeń, okazywał jej większy szacunek, niż królowi, podkreślał na każdym kroku, że widzi w niej przedewszystkiem członka domu panującego i że nieśmiało tylko podziwia w niej kobietę. Tymczasem Mademoiselle niecierpliwiła się, lata biegły, nie była już młoda. Pocieszała się wprawdzie twierdząc, że ludzie o jej pozycji społecznej są zawsze młodzi, ale tem niemniej zdawała sobie sprawę, że to ostatni czas, aby zdobyć ukochanego, zwłaszcza, że była o 6 lat starsza od niego. Widząc więc, że Lauzun nie ośmieli się zdeklarować, postanowiła zrobić to sama. Oznajmiła mu kiedyś, że ma zamiar wyjść zamąż, ale nie śmie mu powiedzieć za kogo. Poradził, aby napisała. Na to po chwili wręczyła mu kartkę, na której widniały jedynie słowa: „C'est vous — to pan" Zaraz potem pobiegła do króla prosić o pozwolenie poślubienia Lauzun'a. Otrzymała je od nieposiadającego się ze zdumienia monarchy bez trudu.

Wiadomość o tem niezwykłem małżeństwie stała się największą sensacją dworu. Pani de Sévigné określa je niekończącą się serją naj...naj...naj.. i mówi między innemi, że była to rzecz najbardziej godna zazdrości, jaka się wydarzyła w ciągu ostatnich wieków. Wszyscy książęta krwi nie posiadali się z oburzenia; książę de Condé groził wprost, że w razie dojścia małżeństwa do skutku rozbije Lauzun'owi głowę. Ze wszech stron perswadowano królowi, że nie powinien dopuścić do tego skandalicznego małżeństwa. Wszyscy wrogowie Lauzun'a z panią de Montespan na czele namawiali króla do cofnięcia pozwolenia. Przyjaciele zaś, obawiając się, aby zabiegi te nie zakończyły się powodzeniem, namawiali do jak najszybszego zawarcia związku. Lauzun jednak zwłóczył. Chciał, aby jego triumf był jak najbardziej głośny, aby ślub odbył się z całym przepychem i ceremonjałem, stosowanym normalnie przy małżeństwach księżniczek krwi.

Zwłoka ta okazała się fatalna, bo Ludwik XIV na skutek nieustannych perswazyj książąt krwi i pani de Montespan, cofnął pozwolenie. Trudno wyobrazić sobie rozpacz Mademoiselle: dostała spazmów, mdlała, płakała bez przerwy przez kilka dni i nocy. Przez dwa dni nie opuszczała łóżka i żywiła się wyłącznie buljonem z jarzyn. Tym, którzy starali się ją pocieszyć, wskazywała puste miejsce obok siebie w łóżku i mówiła z płaczem: „On byłby tu... on byłby tu...".

Lauzun przyjął niespodziewany cios spokojnie. Miał czem się pocieszyć, bo narzeczona obdarowała go po królewsku: majątki, które od niej otrzymał, przynosiły 32.000 funtów rocznie. Zresztą jest zupełnie prawdopodobne, że pomimo zakazu w tajemnicy poślubił Mademoiselle. Jeżeliby tak było istotnie, a istnieją podobno dokumenty, stwierdzające, że małżeństwo miało rzeczywiście miejsce, to byłoby ono jednym z powodów uwięzienia Lauzun'a. Jego liczni nieprzyjaciele, intrygujący przeciwko niemu od wielu lat, nie omieszkaliby wykorzystać tego momentu, aby go ostatecznie pogrążyć.

Pani de Montespan specjalnie zależało na jego uwięzieniu, gdyż znając uczucia Mademoiselle, mogła za cenę uwolnienia Lauzun'a uzyskać od niej majątki dla swego syna, księcia de Maine. Nie omyliła się w swoich rachubach, bo Mademoiselle zrozpaczona utratą ukochanego, gotowa była wiele poświęcić, aby go odzyskać. Zgodziła się też stosunkowo łatwo na wyposażenie królewskiego bastarda. Niestety nie wystarczyły tylko ofiary z jej strony — za cenę wolności kazano również Lauzun'owi drogo zapłacić. Upłynęło wiele lat, zanim zgodził się na ustąpienie części ziem otrzymanych od Mademoiselle. Po 10 latach więzienia odzyskał wreszcie wolność, jednak bez prawa ukazywania się na dworze.

Mademoiselle miała znowu przy sobie ukochanego. Od lat marzyła o tem, aby mieszkał pod jej dachem i przypuszczała, że teraz szczęście jej nie będzie miało granic. Mimo prawie 55 lat kochała go z niemniejszą siłą i pragnęła jego miłości. Miała nadzieję, że po tylu latach oczekiwania zazna wreszcie słodyczy kochania.

Niestety rzeczywistość zupełnie nie spełniła jej marzeń. Tyle lat tęskniła za ukochanym, poniosła dla niego tyle ofiar, że teraz pragnęła go mieć wyłącznie dla siebie i przypuszczała, że ma do tego prawo. Tymczasem Lauzun, władczy z natury i nie znoszący żadnej władzy nad sobą, nie chciał być w niczem krępowany, zwłaszcza teraz — po tyloletniem więzieniu. Pozbawiony rozrywek światowych przez 10 długich lat, ani myślał ograniczyć się do spokojnego, domowego pożycia z Mademoiselle i rzucił się w wir życia paryskiego.

Nie ukrywał przed Mademoiselle swoich licznych awantur miłosnych, czem doprowadzał ją do rozpaczy. Pożycie ich stało się niekończącą się serją kłótni i awantur, tem ostrzejszych, że oboje nie przebierali w słowach i bynajmniej nie unikali rękoczynów. Lauzun, który nigdy nie traktował kobiet dobrze, z żadną nie obchodził się tak fatalnie. Kiedyś, wróciwszy w zabłoconych butach z polowania, przywitał Mademoiselle słowami: „Wnuczko Henryka IV zdejm mi buty". Nieustanne grubiaństwa i obelgi doprowadziły wkrótce do gwałtownego zerwania; bezpośrednią przyczyną była bójka, z której Lauzun wyszedł podrapany, a Mademoiselle spoliczkowana i skopana.

Kochankowie nie zobaczyli się już więcej. Mademoiselle żyła jeszcze w samotności kilka lat, oddając się dewocjom i dobrym uczynkom Nie wspominała nigdy o tym, który zmarnował jej życie, naraził ją na śmieszność i poniżenie. Zawziętość, która w jej sercu zajęła miejsce miłości była tak wielka, że w testamencie nie wspominała nawet o nim.

A Lauzun...: Dzięki przysługom oddanym wygnanemu królowi angielskiemu, Jakóbowi II wrócił do łask, dostał tytuł książęcy, order Podwiązki i dawne prawa dworskie. Nigdy już nie odzyskał jednak przyjaźni króla i dawnego znaczenia na dworze. Po śmierci Mademoiselle nosił publicznie żałobę, a w dwa lata potem, mając 63 lata ożenił się z 15-letnią córką marszałka de Lorges. Do końca życia cieszył się dobrem zdrowiem. W 88-ym roku życia ciężko zachorował i czując zbliżającą się śmierć wezwał rodzinę, aby jej oznajmić, że cały majątek zapisuje na cele dobroczynne. Dowcip ten ubawił go do tego stopnia, że wyzdrowiał. W 90-ym roku życia zadziwiał jeszcze Ludwika XV i dwór zręcznością w jeździe konnej. — Umarł, mając 91 lat.

---

[5]) Niektórzy twierdzą, że Lauzun nie czekał na panią de M. w korytarzu lecz podszedł do niej w sali, w obecności króla i całego dworu, wziął pod rękę i prowadząc ją po sali, szczypał w ramię, ze słodkim uśmiechem łżył najgorszemi słowami i opowiadał podsłuchaną rozmowę. Następnie ledwo żywą ze złości i przerażenia odprowadził do króla.



Powyżej:
Gondole na kanale w Wenecji.

DWIE ULICE

Poniżej:
Via Vittorio Veneto w Rzymie.



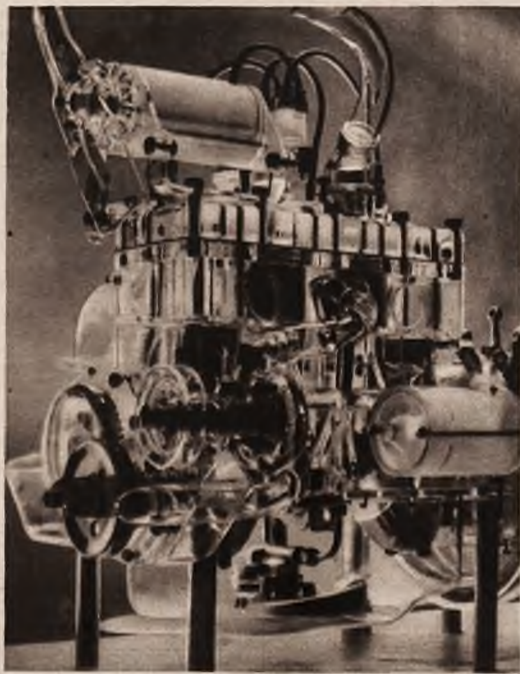
Wielkie i małe zdobycze TECHNIKI

Mimo kilku nieszczęśliwych wypadków, które zdarzyły się w lotnictwie pasażerskiem w ostatnim czasie, nie można bynajmniej zauważyć jakiegoś osłabienia zainteresowania dla tej gałęzi techniki. Przeciwnie — możnby nawet zaryzykować twierdzenie, że tego rodzaju wypadki stają się podnietą do dalszych badań i ulepszeń. Wiadomo przecież, że kto nigdy z konia nie spadł, dobrym jeźdźcem nie będzie. Nie można tego powiedzenia oczywiście zastosować do lotnictwa bez przenośni.

Technika lotnicza posuwa się naprzód mimo tych wypadków, a często nawet wskutek nich. Należy tu rozróżnić lotnictwo wojskowe od cywilnego. Lotnictwo wojskowe kroczy zupełnie odrębnemi drogami, coraz bardziej udoskonalając aparaty, ich nośność i zasięg oraz szybkość lotu. Przeważnie szczegóły konstrukcji są w tym wypadku trzymane w tajemnicy. Dziwnem jest przeto, że tak prędko dowiedziano się o nowym samolocie bombowym angielskim, t. zw. samolocie Delta, którego fotografję widzimy obok. Samolot ten przypomina z daleka nietoperza. Pilot i obserwator znajdują się w środkowej części kadłuba, wyglądającej jak cygaro. Jest to najbardziej naprzód wysunięta część tego samolotu. Maszyna posiada właściwie dwa kadłuby, połączone ze sobą w tyle. Ta tylna część, to niejako trzeci płat nośny. Na przodzie tych dwóch kadłubów znajdują się motory po 125 KM. Nośność maszyny wynosi 36% jej ciężaru. Aparat wygląda niesamowicie i daje doskonałe pojęcie o pracy poszukiwawczej konstruktorów samolotowych, którzy chcieliby udoskonalić i na nowe wprowadzić drogi dotychczasowe lotnictwo.

Jeśli chodzi o lotnictwo cywilne, to obok pasażerskiego, zorganizowanego w wielkich towarzystwach lotniczych, rozwija się coraz bardziej lotnictwo prywatne. Na załączonej ilustracji widzimy „taksówkę" lotniczą, skonstruowaną przez dwóch amerykańskich lotników z czasów wojny, którzy zarabiają sobie teraz widocznie w braku lepszego zajęcia udzielaniem nauki pilotażu i prowadzeniem „taksówek" w przestworzach. Mały ten aparat, którego pilotowanie ma być dostępne dla każdego, jest jednym z wielu nowych tanich, lekkich i łatwych w obsłudze samolotów, jakie pojawiły się ostatnio w Ameryce, Anglji, Francji i Niemczech. — Z tak wspaniałego wynalazku skorzystają wkońcu szerokie warstwy ludności, co umożliwi rozwinięcie się nareszcie sportu lotniczego. Dzisiaj istnieje jeszcze mało ludzi, którzy posiadają samolot do swojej prywatnej dyspozycji i z niego korzystają.

Sport samochodowy rozwijał się o wiele szybciej i samochód prędzej się spopularyzował. Niektórzy mówią, że przyczyną tego jest okoliczność, iż konstruktorzy poświęcali dotychczas mało uwagi tym konsumentom lotnictwa, pracując głównie dla lotnictwa wojskowego i wielkich linij pasażerskich. W Ameryce jednak, jak już powiedzieliśmy, pojawia się coraz więcej popularnych awionetek. Jedną z nich jest awionetka Watermana. Płaty jej są zwrócone w ten sposób ku sobie, że tworzą jak gdyby strzałę wskazującą ku przodowi, przyczem śmigło znajduje się w tylnej części kadłuba. Awionetka ta nazywa się też „arrow-bill" (arrow-strzała). Samolot ten może być użyty także jako samochód (kabina jest tak zbudowana jak karoserja samochodu). Kadłub osadzono na trzech kołach, na których można lądować, przyczem w łatwy sposób zdejmuje się skrzydła i blokuje śmigło. Za pomocą odpowiedniego sprzęgła silnik może napędzać koła, zamiast śmigła i samochód, jako trójkołowiec, jest gotowy do jazdy. Przednie koło połączono z kierownicą.





Od lewej: Celem zapoznania publiczności z funkcjonowaniem różnych maszyn Niemcy umieścili ostatnio na wystawach technicznych modele silnika samochodowego i maszyny do pisania, wykonane z przeźroczystej masy szklanej „plexi".

Gdy już mowa o samolotach, wspomnijmy jeszcze, że ostatnio poczyniono bardzo znaczne postępy w zwiększeniu wygód pasażerów lotniczych. Nie jest już dzisiaj rewelacją, iż podróż samolotem odbywa się w kabinach, przypominających najbardziej luksusowe amerykańskie pociągi. Nie brak tu ani baru, ani sypialnych kabin itd. Nawet i pod względem ciszy, której brak do niedawna tak dolegał pasażerom samolotów, warunki się ogromnie poprawiły. Do zamierzchłej wprost przeszłości należą te czasy, gdy pasażer, udając się w podróż samolotem, musiał włożyć na głowę specjalny hełm, izolujący go od hałasu motoru.

Walka z hałasem w lotnictwie nie jest bynajmniej tak łatwa. Powoduje go przedewszystkiem wydmuch silnika i śmigła lotnicza. Urządzeń, których z powodzeniem zastosowano w samochodach dla zmniejszenia hałasu, powstającego w rurze wydmuchowej, nie zawsze można stosować w lotnictwie. Jeszcze gorzej przedstawia się rzecz z hałasem, spowodowanym przez obracającą się śmigę. Wydaje się niestety niemożliwem usunięcie tego właśnie źródła hałasu. Dążnościom do zmniejszania hałasu śmigła przeciwstawia się niestety okoliczność, że przy zastosowaniu zmian, powodujących zmniejszanie się hałasu, zmniejsza się także i moc motoru.

Inne rodzaje hałasów, powstających w czasie lotów, jak np. gwizdy i piski na krawędziach usterzenia i płatów oraz szmery, powstające w urządzeniach służących do ogrzewania i wietrzenia, są również dość przykre, chociaż swem nasileniem nie dorównują hałasowi, spowodowanemu przez pracę silnika i śmigła. Dochodzi tu jeszcze hałas, spowodowany przez wstrząsy, jakim ulegają części samolotu i kabiny podczas podróży. Ten rodzaj hałasu daje się także we znaki, np. pasażerom starych i zużytych samochodów. Dla usunięcia tego hałasu dobrze jest odsunąć silnik i śmigło jak najdalej od kabiny pasażerskiej. Niestety nie jest to tak proste, jak się wydaje. Względy konstrukcyjne wymagają często umieszczenia silnika jak najbliżej kabin. Widzimy więc znowu, że w lotnictwie napotyka się na szczególne trudności w zwalczaniu hałasu. Mimo to jednak udało się tutaj uczynić bardzo wiele i zmniejszyć hałas do tego stopnia, że przestał on być dokuczliwy dla pasażerów. Tak np. w kabinach umieszcza się w pobliżu ścian materjały porowate, jak np. wełniane tkaniny albo też filc i watę. W kanalikach i porach tych materjałów natrafiają drgające cząsteczki powietrza na tak wielki opór, że zmniejsza się amplituda ich drgań i tem samem moc hałasu. Urządzenia takie stosuje się, jak wiadomo, już oddawna dla ochrony przed hałasem. O jednej rzeczy warto jeszcze przy

tej okazji wspomnieć: tkaniny te nie są umieszczone przy samych ścianach, tylko w pewnej od nich odległości, wynoszącej około 5 do 8 cm. Tu bowiem siła drgań cząsteczek powietrza jest największa.

Prócz tego stosuje się jeszcze inne urządzenia dla zmniejszenia hałasu. Np. umieszcza się w samolocie materjały, które drogą rezonansu zostają same pobudzone do drgań i tem samem zużywają energję i zmniejszają hałas. Jest to dość oryginalny i ciekawy sposób walki z hałasem, którego z braku miejsca niestety tu bliżej opisać nie możemy. W każdym razie z powyższego już widać, że istnieje cały szereg sposobów walki z hałasem w lotnictwie. Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, iż zupełne usunięcie go jest przy tym środku komunikacyjnym wyjątkowo trudne i kto wie, czy nawet nie niemożliwe.

Mimo, że lotnictwo i automobilizm wydają się być pupilami wśród środków komunikacyjnych, to jednak także i nad innemi działami komunikacji praca nie ustaje. Ciągłe współzawodnictwo między poszczególnemi okrętowemi linjami pasażerskiemi z jednej strony, a między żeglugą morską i lotnictwem z drugiej, powoduje pojawianie się coraz to nowych ulepszeń także i w ruchu okrętowym. Popatrzmy np. na załączoną ilustrację, przedstawiającą model zupełnie nowego aerodynamicznego statku. Pewien urzędnik francuskiej linji pasażerskiej zbudował ten model. Ma to być parowiec zupełnie pozbawiony kominów, u góry zakryty. Według konstruktora ma to być ideał aerodynamicznej linji, zastosowanej w budowie okrętów. Obliczenia wykazały, że taki parowiec potrzebowałby na podróż z Europy do Ameryki 3 i pół dnia, a zatem jeszcze mniej, aniżeli obecne olbrzymy transatlantyckie: „Normandie" i „Queen Mary". Z tak pośpiesznym parowcem trudno będzie konkurować samolotom lub sterowcom transatlantyckim.



Model projektowanego olbrzyma transoceanicznego o linjach opływowych.

Ulepszenia nowoczesnych środków komunikacyjnych w niemałej mierze zależne są od usprawnienia konstrukcji silników. Silnik samochodowy i lotniczy — to najważniejszy organ tych nowoczesnych środków komunikacyjnych. — Znajomość budowy i funkcjonowania tego serca samochodu i samolotu ważna jest dzisiaj dla każdego, kto interesuje się automobilizmem lub lotnictwem, a tembardziej dla tych, którzy z tych środków komunikacyjnych korzystają. Bliższe poznanie motoru ułatwia model jego, zbudowany w całości ze szkła. Model taki wystawiony był na wystawie samochodowej w Berlinie. Widzimy go na załączonej ilustracji. Rzecz jasna, że można było na wystawie obserwować ten silnik w czasie pracy. Takie naoczne i poglądowe poznanie sposobu pracy silnika, jest może więcej warte, niż długie wywody książkowe.

Na innym znowu pokazie technicznym w Niemczech, wystawiono maszynę do pisania ze szkła. I w tym wypadku obserwacja taka jest ogromnie pouczająca. Ale nie o to tylko chodzi. Stanowi to przecież zarazem pokaz nowego materjału, jakim dysponuje dzisiejsza technika, to jest nowego sztucznego szkła. Nowe to szkło jest w rzeczywistości sztuczną żywicą, zupełnie przeźroczystą i przez to podobną do szkła, natomiast o wiele bardziej od niego elastyczną i wytrzymałą. Nie zapomnijmy, że sztuczne żywice, to olbrzymi i potężny dział nowoczesnej chemji technicznej. Zastępują one, jak się okazuje, metale, drzewo, kamień itd., służąc do wyrobu wszelkiego rodzaju przedmiotów. Niema dziś wprost przedmiotu, któregoby nie można było wyrabiać ze sztucznej żywicy. Ciekawszym szczegółem przytem jest, że te sztuczne żywice bardzo często wyrabiane są z takich surowców, po których nigdybyśmy się tego nie spodziewali. A więc np. z acetylenu, który, jak wiadomo, otrzymuje się z karbidu wapiennego. A ponieważ karbid fabrykuje się z węgla i wapna, a więc w rezultacie te dwa minerały są surowcami dla wyrobu różnego rodzaju sztucznych tworzyw.

Z sztucznych żywic wyrabia się między innemi także i aparaty radjowe, patefony, oraz płyty gramofonowe. Płyty te ostatnio znalazły nowe zastosowanie. W niektórych miastach holenderskich umieszczono na pocztach automaty, w które można dyktować listy. Za wrzuceniem monety do automatu zostaje uruchomione urządzenie do nagrywania płyt. Na takiej płycie, zrobionej ze sztucznej żywicy, rejestrują się słowa, wypowiedziane do aparatu. Płyta nagrana, wypada z automatu wraz z kopertą, do której się ją wkłada i nadaje pocztą. Odbiorca może sobie przegrać taką płytę na zwyczajnym gramofonie. Zamiast martwego pisma, słyszy żywy głos swego korespondenta.

Urządzenie pomyślane jest nietylko dla tych, którzy niechętnie pisują. Może ono bowiem odegrać dużą rolę także i w życiu handlowem, tembardziej, że sfałszowanie takiego pisma dźwiękowego jest o wiele trudniejsze, aniżeli zwyczajnego. Nie wspominamy już o tem, że płyta taka zawsze będzie milej widziana w korespondencji prywatnej, aniżeli papier listowy. Wrażenie, jakie wywiera słowo mówione, będzie zawsze silniejsze i bardziej bezpośrednie od słowa pisanego.

Inż. J. A.



Kabiny pasażerskie samolotów amerykańskich są izolowane specjalnemi ścianami, głuszącemi huk motorów i szum śmig.

Na prawo w kole: Oto jak wygląda pierwsza „powietrzna taksówka", funkcjonująca w Ameryce.





Na prawo: Wprowadzony w Holandji aparat do dyktowania „listów mówionych".

Poniżej: Model olbrzymiego bombowca angielskiego.



Katarzyna Hepburn

100%-owa gwiazda amerykańska

Gdybyśmy przeciętnego Amerykanina zapytali — jaka jest najpopularniejsza gwiazda filmowa — odpowiedziałby nam bez wahania — Katarzyna Hepburn.

Przez wiele lat w filmie amerykańskim przodowały cudzoziemki. Od Polki Poli Negri, poprzez Niemkę Marlenę Dietrich, Szwedkę Gretę Garbo. Francuskę Claudette Colbert — ciągnął się długi szereg gwiazd filmowych pochodzenia nieamerykańskiego.

To też dziś Amerykanie z dumą wskazują na Katarzynę Hepburn, jako na gwiazdę stuprocentowo amerykańską.

Katarzyna Hepburn była już wielką gwiazdą filmową Ameryki, a Europa jeszcze nie wiedziała nic prawie o tej artystce. Gdy za oceanem sława jej prześcignęła Gretę i Marlenę — u nas nie wyświetlano jeszcze ani jednego jej filmu.

Filmy takie, jak „Morning Glory" biły w Ameryce wszelkie rekordy powodzenia, a mimo to nie przedostawały się przez Atlantyk.

Katarzyna Hepburn nie miała dobrze zorganizowanej propagandy. Bo artystka ta zmieniała wytwórnie, jak rękawiczki. Lub raczej wytwórnie wyzbywały się jej. Bo Katarzyna Hepburn, to najbardziej niezależna artystka Hollywood. Nie ulegała nigdy dyktatorom wytwórni. Odrzucając wszelkie szablony, sprzeciwiała się tradycjom wielkich fabryk filmowych. Aż wreszcie — Katarzyna Hepburn zwyciężyła. Pozwolono wypowiedzieć się jej i — wtedy nastąpiło walne zwycięstwo. Artystka wystąpiła w wielkim filmie muzycznym „Należę do ciebie", gdzie partnerem jej był Charles Boyer. Był to wielki film muzyczny, oparty na motywach utworów Czajkowskiego, Schuberta, Brahmsa i Bacha.

Dalszym triumfem Katarzyny — to obraz „Alice Adams", w którym gra rolę tytułową. Krytycy filmowi Ameryki po tym obrazie porównali grę Katarzyny Hepburn — z grą genjusza filmowego Chaplina.

„Katarzyna Hepburn — pisano — podobnie jak Chaplin — jednoczy w sobie najsubtelniejszy komizm z tragizmem postaci, którą życie stale zmusza do odgrywania niewłaściwej roli. Filmy jej wywołują śmiech i łzy, bawią i smucą, ale przedewszystkiem budzą zachwyt".

Scenarjusz filmu „Alice Adams" został oparty na popularnej powieści Booth Tarkingtona. Alicja Adams, młoda ambitna dziewczyna, dąży do wybicia się ponad swoją sferę i marzy o poślubieniu bogatego młodzieńca. Reżyserem tego filmu był George Stevens, przyczem między artystką a kierownikiem produkcji panowała idealna zgoda. Sam reżyser przyznał, że nie potrafiłby rozwiązać tak trudnego zadania, jak sfilmowanie tej popularnej w Ameryce powieści — gdyby nie pomoc Katarzyny Hepburn. Artystka ta — nie odtwarzała roli, lecz żyła nią. Każdy jej ruch, każde drgnienie twarzy odpowiadało danemu przeżyciu.

Przez pewien czas próbowano porównywać Katarzynę Hepburn z Gretą Garbo. Okazało się jednak, że nowa gwiazda jest wielką indywidualnością aktorską, niezależną od wpływów obcych.

Obok wielkiego filmu współczesnego, jakim był „Alice Adams", którego akcja rozgrywała się w środowisku małego miasta amerykańskiego — Katarzyna Hepburn występuje w filmie historycznym. Jest to „Marja Stuart", jeden z najlepszych obrazów historycznych.

Katarzyna Hepburn nie należy do artystek wybitnie pięknych. Jej twarz jest ciekawa, zastanawiająca. Film amerykański znalazł w Katarzynie Hepburn indywidualność wielką, artystkę wielkiej miary, o szerokiej skali talentu. *Z. Grotowski.*



POLSKI OKRĘT WOJENNY ◆ O. R. P. „GRYF"



Powyżej: Stawiacz min „Gryf" wyrusza z Hawru do ojczyzny.

Nowy polski okręt wojenny, któremu rozkaz Ministerstwa Spraw Wojskowych dał nazwę „Gryf" — godło Pomorza, został zbudowany na stoczni francuskiej w le Havre. Jest to stawiacz min, a więc jednostka tej grupy, o której naogół wiemy bardzo niewiele. Słyszeliśmy o okrętach linjowych, o krążownikach, interesowaliśmy się nie na żarty kontrtorpedowcami i łodziami podwodnemi, ale stawiacz min pozostaje dla większości czytelników pod znakiem zapytania.

Wprawdzie już sama nazwa tego okrętu wskazuje na jego przeznaczenie, ale skądinąd wiemy, że stawianiem min mogą np. zajmować się niektóre łodzie podwodne, typu np. naszego „Wilka" i że podobne zadania są przewidziane w pewnym wypadkach także dla kontrtorpedowców. Czy więc nasza Marynarka Wojenna nie mogła się obejść bez tego kosztownego nabytku, jakim jest okazały „Gryf"?... Sądzimy, że czytelnicy przychylnie przyjmą garść rzeczowych uwag na temat najnowszego i zarazem największego polskiego okrętu.

Przedewszystkiem należy stwierdzić, że stawiacze min nie należą do właściwej floty wojennej, obejmującej wyłącznie takie jednostki, których zadaniem głównem jest bój, a więc okręty linjowe, krążowniki linjowe, krążowniki typu „waszyngtońskiego" i lekkiego, torpedowce i kontrtorpedowce, łodzie podwodne, a nawet uzbrojone w pokaźną liczbę dział średnich i przeciwlotniczych oraz w wyrzutnie torpedowe — lotniskowce, których zadaniem jest ułatwianie samolotom działalności na morzu z dala od baz lądowych.

Okręty wymienionych klas, jako przeznaczone do prowadzenia walki przy pomocy dział i torped, względnie — samolotów, w konstrukcji swojej mają uwzględnione przedewszystkiem te czynniki, które mogą spotęgować ich ściśle bojowe właściwości. Do czynników tych należy silna artylerja, opancerzenie, które zapewniłoby żywotnym częściom okrętu jak największe bezpieczeństwo, wreszcie szybkość, która okrętom mniejszym zastępuje z powodzeniem pancerz. Natomiast stawiacze min, którym wyznaczono zadania zupełnie inne, jakkolwiek bezbronne nie są, to jednak konstrukcję mają pomyślaną zupełnie inaczej.

Nieprzeznaczone do brania udziału w bitwie morskiej i dlatego zaliczone nie do floty właściwej, lecz do pomocniczej, są w zupełności pozbawione artylerji ciężkiej i średniej, tudzież wyrzutni torpedowych. Nie posiadają zatem broni stworzonej dla zwalczania jednostek większych, broni, będącej znamienną cechą wszystkich okrętów floty właściwej. Jedynie w celach obrony przed możliwemi zawsze atakami ze strony torpedowców, kontrtorpedowców i łodzi podwodnych oraz samolotów, wyposażono je w kilka dział przeciwtorpedowych i parę działek przeciwlotniczych. Artylerja ta jest w różnych częściach okrętu i bądź zupełnie pozbawiona opancerzenia, bądź też obudowana lekkiemi tarczami, mającemi raczej znaczenie „moralne", niż praktyczne. Ciężkie karabiny maszynowe uzupełniają całe uzbrojenie stawiacza min przeciwko lżejszym jednostkom nieprzyjacielskim.



„Gryf" podczas budowy w porcie wojennym w Hawrze.

Natomiast zamiast ciężkiego uzbrojenia, które zresztą nie odpowiadałoby zadaniom tego okrętu, dla zwiększenia stopnia odporności na ogień, zabezpieczono części żywotne okrętu w pancerz.

Jak więc widzimy, stawiacz min został nader skąpo wyposażony w broń okrętów właściwej floty bojowej. Rozporządza on zato obficie środkami, które w działaniach wojennych na morzu mają niezmiernie doniosłe znaczenie.

Rewelacyjne dla rozwoju taktyki morskiej doświadczenia wojny rosyjsko-japońskiej, potwierdzone później w skali olbrzymiej podczas wojny światowej, wykazały, że miny są nader niebezpiecznym rodzajem broni i mogą być stosowane nie tylko w celach obronnych, ale i zaczepnych, to też z możliwością istnienia min na morzu liczyć się muszą nawet najpotężniejsze floty. Niejeden okręt, niejeden dreaudnought, kosztujący setki miljonów i będący chlubą całego narodu, spoczął na dnie morza wraz z całą załogą, natknąwszy się na zakotwiczoną w głębinach, niewielką, zaopatrzoną w zdradliwe rożki, stalową kulę.

Na samym początku wojny zatonął na minie rosyjskiej niemiecki krążownik lekki „Magdeburg", co w swoim wyniku dało koaliantom w ręce cenny atut w ich rozgrywce z państwami centralnemi. Oczywista, że nie z powodu zniszczenia tego okrętu, które na stanie bojowym floty niemieckiej zaważyć nie mogło i nie zaważyło. Ale nadbiegłe na miejsce wypadku torpedowce rosyjskie wyłowiły między innemi szczątkami również i księgę z kluczem tajnej sygnalizacji niemieckiej: optycznej i iskrowej. Kopję tej księgi Rosjanie przekazali admiralicji brytyjskiej.

Roztropni Anglicy utworzyli przy admiralicji w celu jak najsumienniejszego wykorzystania tego daru fortuny, specjalny wydział z wyłącznem zadaniem odcyfrowywania według posiadanego klucza niemieckich telegramów iskrowych, któremi niemal bez przerwy pulsował eter i wyławiania z tego chaosu wiadomości i depesz, mogących mieć jakikolwiek związek z działaniami na morzu.

Od tej pory marynarka niemiecka nie mogła przedsięwziąć nic poważniejszego, co jednocześnie nie byłoby wiadome Anglikom. Tem się też tłumaczy bezczynność niemieckiej „Hochseeflotte" po największej w dziejach ludzkości bitwie morskiej, rozegranej w dniu 31 maja 1916 roku na Skagerraku, kiedy to Niemcy zamierzając zaskoczyć jakiś ułamek floty brytyjskiej, aby go zniszczyć swoją przewagą, ku swojemu zdumieniu napotkali zamiast niewielkiego i niegroźnego zespołu okrętów, dwa razy od własnych sil liczniejszą wielką flotę brytyjską, której wódz, lord Jellicoe został o zamiarach nieprzyjaciela zawczasu uprzedzony.

Tak więc niepozorna mina rosyjska stała się pośrednią przyczyną unieruchomienia wielkiej floty niemieckiej na cały, zgórą dwa lata trwający, najważniejszy okres wojny.

Poza swojemi zadaniami zaczepnemi, miny mają również i obronne, tworząc szereg umocnień przed wejściem do własnych portów, rodzaj okopów na morzu, wyrażając się językiem lądowym. Takie pola minowe, zakotwiczone dalej i bliżej od portu, stanowią obok baterji nadbrzeżnych i lotnictwa bardzo ważny czynnik obrony wybrzeża.

Rzecz prosta, że doceniając w pełni znaczenie min oraz okrętów przeznaczonych do ich stawiania, nie należy wpadać w skrajną przesadę i mniemać, że stawiacze min mogą zastąpić flotę właściwą, z którem to twierdzeniem można czasami spotkać się wśród ludzi obcych sprawie obrony morskiej. Pola minowe, podobnie jak i baterje nadbrzeżne, to ostateczność, na ostateczności zaś nadziei na zwycięstwo opierać nie wolno.

Tem niemniej stawiacze min są dla obrony wybrzeża jednostkami niezbędnemi i wręcz nieocenionemi. Dotychczas ich rolę na wypadek wojny miały u nas pełnić łodzie podwodne: „Ryś", „Wilk" i „Żbik", które z konieczności musiałyby wówczas ograniczyć inne swoje zadania, jak przeprowadzanie zwiadów, niszczenie tonażu nieprzyjacielskiego, niepokojenie jego linij komunikacyjnych itd. Obecnie z wydatną pomocą przychodzi im O. R. P. „Gryf", duża jednostka, wypornością swoją 2 i pół tysiąca tonn, jak również sylwetą przypominająca krążownik lekki.

Nasza flota wojenna powoli, ale stale rośnie. Wzmaga się stopniowo siła Polski na morzu, będąca najwymowniejszą gwarancją bezpieczeństwa Gdyni i łączności ze światem, a więc niepodległości gospodarczej państwa.

Mieczysław Zydler.

O MAŁŻEŃSTWIE NA WYSPACH TROBRIANDZKICH



Jedna z wielu wysepek, rozsianych u wybrzeży Nowej Gwinei.



W kole: Mapa Morza Koralowego. x Wyspy Trobriand.

Bronisław Malinowski — znany badacz życia i obyczajów szczepów pierwotnych — jest dziś autorytetem w tej dziedzinie, zyskując w nauce angielskiej imię i pierwszorzędną pozycję. Autor szeregu dzieł naukowych, które wyszły w języku angielskim, doczekał się tylko dwóch przekładów polskich, z których jeden ukazał się z początkiem tego roku [1]).

Bronisław Malinowski jest z pochodzenia Krakowianinem, synem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który osiadł na stałe w Anglji i tam pracuje. Ostatnio opublikowane w języku polskim „Życie seksualne dzikich" — jest rezultatem ekspedycji uczonego do Nowej Gwinei angielskiej. Ekspedycja ta finansowana była przez Roberta Monda i odbyta w latach 1914—18.

Książka Bronisława Malinowskiego, to precyzyjnie skonstruowane studjum, w którem nie pominął on najmniejszego drobiazgu odnośnie do omawianego tematu. Dzięki temu powstała rzecz, która wprowadza czytelnika w świat o doskonale ostrych konturach, świat inny, dziwnie piękny, pogodny, w którym nie istnieją fałsz i blaga. Książka ukazuje nam dzikiego nie takim, jakim nas nauczono go oglądać oczyma wyobraźni — „wyuzdanym, zwierzęcym potworem, zdolnym do najgorszego" — lecz takim, jakim on jest w rzeczywistości. Dziki związany z naturą, żyjący w jej orbicie, daleki od kłamstw, obłudy i szablonów cywilizacji białego człowieka — osnuł swój świat zmysłów poetycznym nimbem — skierował jego nurt w kierunku zdrowego i jasnego pojmowania — czego rezultatem przykładne małżeństwo trobriandzkie, żyjące w obopólnym szacunku, kochające się, związane przyjacielskiemi węzłami, dla których zbyteczne są przysięgi i pisemne umowy — za to godne poświęceń i wyrzeczeń.

Kilka luźno wybranych uwag o małżeństwie u dzikich, wyjętych z dzieła prof. Malinowskiego przekona nas, że instytucja rodzinna trobriandczyków daleka jest od mitów o „Jus primae noctis", wypożyczaniu żon, przymusowej prostytucji itd. i posiada niemal doskonałą formę.



Mężczyźni trobriandcy w pełnym stroju odświętnym.

Na wyspach Trobriandzkich zamieszkuje społeczeństwo matrylinealne. Matka jest tam jedyną osobą, od której prawnie wywodzi się pochodzenie, pokrewieństwo oraz wszelkie inne związki społeczne. W ustroju takim kobieta bierze znaczny udział w życiu plemiennem, tak dalece, że w wielu czynnościach ekonomicznych, obrzędowych i magicznych odgrywa kierowniczą rolę. Fakty te wywierają głęboki wpływ także na samą instytucję małżeństwa.

Zasadą, na której opiera się cały system prawny trobriandczyków, jest pogląd, że jedynie i wyłącznie matka wytwarza ciało dziecka, ojciec natomiast nie odgrywa w tem żadnej roli. Poglądy krajowców na proces rozmnażania się łącznie z niektóremi mitycznemi i animistycznemi wierzeniami niewątpliwie i bez zastrzeżeń głoszą, że dziecko jest tej substacji, co matka, i że pomiędzy ojcem a dzieckiem niema żadnego fizycznego związku. Trobriandczycy posiadając skrystalizowaną instytucję małżeństwa, nie wiedzą jednak o udziale mężczyzny w poczęciu dziecka.

Doktryna krajowców odnośnie do początku nowego życia mówi, że rozpoczyna się ono wraz z śmiercią. Po śmierci człowieka duch jego wędruje na wyspę umarłych, Tumę, gdzie wiedzie beztroski żywot, posiadając możność odmładzania się. Z czasem jednak duchowi przykrzy się ten proces i może on zapragnąć powrotu na ziemię. Wtedy cofa się w latach i staje się małem, jeszcze nienarodzonem dzieckiem. Te duchy-dzieci są według wierzeń trobriandzkich jedynem źródłem regeneracji ludzkości. Duch-dziecko dostaje się zpowrotem na wyspy trobriandzkie i wnika do łona kobiety.

Wyraz „ojciec" ma dla krajowców ściśle określone, chociaż wyłącznie społeczne znaczenie, a zatem słowa tego nie należy łączyć z prawnemi, moralnemi, czy bilologicznemi pojęciami, które posiada u nas.

Małżeństwo na wyspach trobriandzkich jest podstawą władzy oraz całego systemu ekonomicznego, podstawą niemalże wszystkich instytucyj społecznych. Trobriandczyk dopóki nie zawrze małżeństwa, nie posiada pełnego stanowiska społecznego i w gruncie rzeczy poza niedorozwiniętymi, nieuleczalnie chorymi, starymi wdowcami i albinosami niema nieżonatych dorosłych mężczyzn. To samo z kobietami. Wdowa, czy rozwódka nie będzie długo czekała. Skoro skończy się okres żałoby, na nowo staje się ona zdatna do małżeństwa. Czasem, chcąc zakosztować swobody, może nieco zwlekać z zawarciem małżeństwa. Takie jednak prowadzenie postawi ją w rezultacie pod pręgierzem opinji publicznej i zmusi wkońcu do wybrania sobie nowego małżonka.

Tubylcy zawierają małżeństwa tak poprostu i trzeźwo, jak gdyby byli współczesnymi, europejskimi niedowiarkami — stwierdza z humorem uczony. Trobiandczycy czynią to bez hałasu i zamieszania, bez wielkich ceremonij, nie tracąc czasu i pieniędzy. Raz zadzierżgnięty węzeł małżeński stanowi silny i wyłączny związek.

Wyraźne i spontaniczne pragnienie małżeństwa i obok tego nacisk zwyczajowy, to dwie różne rzeczy, co do których istnienia niema najmniejszej wątpliwości. Co do pierwszego istnieją niedwuznaczne oświadczenia poszczególnych osób, które stwierdziły, że zawarły małżeństwa, ponieważ myśl dozgonnego związku z daną osobą była dla nich szczególnie drogą. Co do drugiego zaś jest wyraz opinji publicznej, która orzeka, że tych dwoje wzajemnie sobie odpowiada, wobec tego powinni się pobrać.

Powyższem zostaje wytłumaczony fakt szerokich pragnień małżeństwa, które nietylko nie zwiększają swobody, ale ją wręcz uszczuplają.

Z punktu widzenia mężczyzny innym je-

[1]) Bronisław Malinowski: „Życie seksualne dzikich". Przekład Andrzeja Waligórskiego i Józefa Chałasińskiego. Stron 560 i 97 ilustracyj. Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1938 r.

szcze, ważnym powodem zawierania małżeństw są korzyści materjalne. Mężczyzna bowiem otrzymuje posag w formie corocznych pokaźnych świadczeń ze strony rodziny żony w formie żywności. Zobowiązanie to — jest być może najważniejszym czynnikiem w strukturze społecznej trobriandzkiej. Na nim poprzez instytucję rangi i przywilej poligamji opiera się znaczenie wodza. Gospodarstwo młodych małżonków wskutek corocznego wiana małżeńskiego, zależne jest nietylko od własnej przedsiębiorczości i możliwości roboczych, ale także od energji rodziny żony. Łowca posagowy z wysp trobriandzkich będzie zatem poszukiwał jedynaczki, mającej kilku braci. Pozatem wreszcie w człowieku, który ma już za sobą młodość — budzi się pragnienie stworzenia sobie własnego gospodarstwa. Własny dom oznacza dzieci, a Trobriandczyk ma naturalne pragnienie posiadania ich. Chociaż nie przyznaje się do wspólnych więzów krwi, ani też nie uważa, że one kontynuują jego ród — to jednak stają się dla niego bliskimi i zażyłymi towarzyszami, za którymi po „trzydziestce" zaczyna tęsknić. To są powody społeczne, gospodarcze praktyczne i uczuciowe, które skłaniają mężczyznę trobriandzkiego do małżeństwa. Kobietę natomiast, która nie korzysta pod względem gospodarczym i która przez małżeństwo o wiele mniej zyskuje pod względem wygody życia i stanowiska gopodarczego — skłania do małżeństwa osobiste uczucie i pragnienie posiadania ślubnych dzieci.

Mężczyzna jest w decyzji małżeństwa prawie niezależny. Małżeństwo jego, które będzie źródłem ustawicznych i poważnych wysiłków i kłopotów dla rodziny jego żony — znajduje się poza kręgiem interesów własnej rodziny.

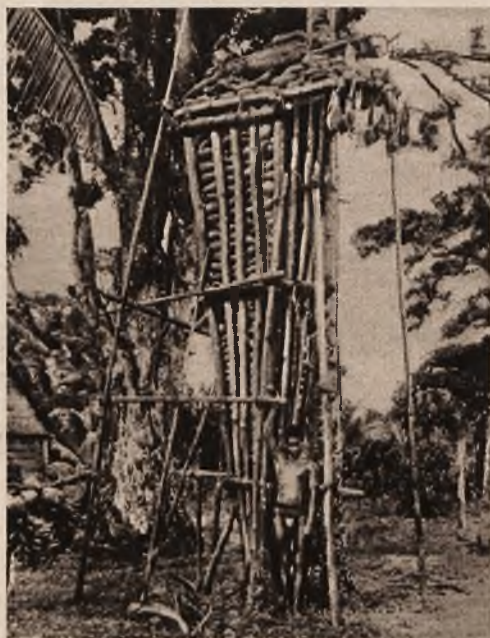
Z całej rodziny dziewczyny — jest to zdumiewające — ojciec jest tym, który ma najwięcej do powiedzenia w sprawie jej małżeństwa, chociaż prawnie nie jest uważany nawet za jej krewnego. Dzieje się to na skutek surowego tabu, zabraniającego jakiegokolwiek mieszania się braciom i kuzynom męskim ze strony matki do spraw miłosnych młodej panny. Dzięki temu nie posiadają oni żadnej kontroli nad jej planami matrymonjalnymi. Ojciec zaś, jak powiadają krajowcy, jest w tym wypadku rzecznikiem matki.

Gdy dwoje kochanków postanowiło się pobrać, wówczas mężczyzna stara się pozyskać sympatję rodziny swej najdroższej. Zdarza się, że ojciec wyrazi sam od siebie zgodę na małżeństwo. W ten sposób dobrze usposobiona rodzina dziewczyny względem młodego człowieka, bierze inicjatywę w swe ręce. Jeśli jednak rodzina sprzeciwia się stanowczo małżeństwu — nie okazuje żadnych oznak dobrej woli. Dzieje się to na wypadek, gdy on nie jest dość dobrego pochodzenia, lub gdy cieszy się złą opinją, np. lenia. (Niepracowity zięć byłby zbyt wielkim ciężarem dla przyszłego teścia, i szwagrów).

Po odmowie—para może zaniechać swych zamiarów matrymonialnych, lub kontynuować starania. Zdarza się, że czasem młodzi wymykają się do innej wsi ,lub nie opuszczając chaty przez cały dzień i nie przyjmując posiłków, starają się przebłagać rodzinę. Tymczasem ojciec lub wuj młodego mężczyzny udaje się na pertraktacje do rodziny dziewczyny, której zgoda jest decydującą w zawarciu małżeństwa, gdyż od niej zależy zaopatrywanie młodej pary w żywność. Prof. Malinowski przytacza szereg przykładów, gdzie wola rodziny dziewczyny ostatecznie decydowała w zawarciu małżeństwa.

Kiedy rodzice dają swe zezwolenie na małżeństwo — proszą starającego się o mały podarek. Młoda para musi jednak po zgodzie jeszcze przez pewien czas czekać, aż poczynione będą odpowiednie przygotowania. Lecz pewnego dnia dziewczyna zamiast wrócić do domu rodziców pozostaje z mężem w chacie jego rodziny i towarzyszy mu przez cały dzień. Wtedy mówi się: „Ten i ta już się pobrali". To stanowi zawarcie małżeństwa. Dziewczyna staje się żoną narzeczonego z chwilą, gdy po zgodzie swej rodziny pozostaje z nim.

Poniżej: Pokaz daru ślubnego. (Bulwy jamu i taro, podstawowy pokarm krajowców)



Poniżej: Wystrojone kobiety.



Poniżej: Ozdobiony dom nieżonatego wodza z Vakuta.



Tak więc stopniowo węzły pomiędzy dwojgiem żyjących wspólnie młodych ludzi zacieśniły się. Po wspólnym pobycie w bukumatula (domu kawalerów), pokazywaniu się publicznie — a to w celu zawiadomienia opinji o swych zamiarach małżeńskich — obudziło się pragnienie małżeństwa, które poparte zgodą rodziny zostało spełnione i przypieczętowane w tak prosty sposób — posiadając jednak prawnie wiążącą moc.

Po deklaracji małżeństwa następuje nader skomplikowana, charakterystyczna dla wszelkich tranzakcyj socjalnych na wyspach Trobriandzkich wymiana darów.

Wreszcie rozpoczyna się nowy okres w życiu młodej pary. Nowe warunki wybitnie krępują młodych. Mieszkają oni u rodziców (ich chata jeszcze nie jest gotowa). Pierwsze noce poślubne to okres naturalnej wstrzemięźliwości. Wreszcie jednak młodzi przeprowadzają się do własnego domu. Życie ich upływa w ścisłym koleżeństwie: wspólnie pracują, dzielą niektóre obowiązki, spędzają wspólnie większość wolnego czasu od pracy.

Prof. Malinowski stwierdza, że rzadko tylko był świadkiem jakichś kłótni między małżonkami. Autor wspomina o jednem małżeństwie z Oburaku, które kłóciło się tak często, że przeszkadzało mu to w pracy. Epizod ten zaopatruje on słowami: łatwo było zapomnieć, że się jest wśród dzikusów i miało się wrażenie, że spowrotem znajduję się między ludźmi cywilizowanymi. Wreszcie komentarz końcowy przynosi wiadomość, iż podczas całego pobytu w Kiriwinie — profesor znał jeden tylko wypadek, że mąż bił żonę, i to zresztą w przystępie zazdrości.

Zazdrość i zdrada małżeńska to dwa czynniki w życiu plemiennem Trobriandczyków, które są w stanie najbardziej zakłócić harmonję pożycia małżeńskiego. Prawo, zwyczaj i opinja wymagają bezwarunkowej, niepodzielnej przynależności płciowej. Każde złamanie wierności małżeńskiej potępiane bywa przez krajowców równie surowo, co u nas przez przykazania chrześcijańskie, czy parwo europejskie. Najbardziej purytańska opinja publiczna nie jest pod tym względem surowcza. Autor przytacza szereg przykładów wiarołomstwa czy podejrzeń o wiarołomstwo, które skończyły się tragicznie.

Rozwód — dość częsty na wyspach Trobriandzkich — jest równie prosty, jak zawieranie małżeństw. Żona opuszcza dom męża, zabiera swój dobytek i przenosi się do chaty matki lub najbliższej rodziny matki. Tam czeka na dalszy rozwój wypadków, a więc na posłów męża, proponujących pojednanie lub prowadząc swobodny tryb życia, na nowego męża. Małżeństwo zakończone rozwodem, nie pozostawia żadnego piętna społecznego ani na kobiecie ani na mężczyźnie. Nie potrzeba wreszcie dodawać, że dzieci pozostają przy matce, jako wyłącznie i tylko z nią spowinowacone.

j. m. b.

KONKURS MAGAZYNU „AS"





na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny



Magazyn „As" — pierwszy w Polsce — wprowadził „Konkurs na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny", pragnąc tym sposobem zwrócić uwagę społeczeństwa na konieczność kultywowania narodowych tradycyj i zwyczajów, które coraz częściej popadają u nas w zapomnienie. Że konkurs ten okazał się celowym i pożytecznym i że wzbudził on zainteresowanie wśród Czytelniczek i Czytelników Magazynu „As", świadczy zwiększająca się rok rocznie ilość nadsyłanych na konkurs zdjęć, oraz liczne listy, skierowywane do naszej Redakcji, a opisujące, jakie koła znajomych naszych Czytelników kultywują zwyczaj „święconego", a które poniechały go oddawna.

Byłoby dobrze, aby także i zamożniejsze domy zechciały nawrócić się do jeszcze żywej u nas tradycji stołu wielkanocnego, nie zastępując go namiastkami. Przeważnie bowiem, jak słyszymy, obserwuje się zwyczaj „święconego" w domach mniej zamożnych ludzi, jakkolwiek im właśnie przychodzi to znacznie trudniej. Taki nawrót do pełnego przestrzegania tradycji stołu wielkanocnego przez sfery posiadające, podniósłby też poziom sztuki kulinarnej, skazanej dziś na opiekę najczęściej tylko zakładów gastronomicznych, co w żadnym wypadku nie sprzyja rozwojowi polskiej kuchni narodowej, słynnej ongiś z indywidualnych cech i wysokiego poziomu.

Pewną inicjatywę w tym kierunku podjęły zeszłego roku panie ze Śląska, których organizacja „Związek Pań Domu" w Katowicach otrzymała też pierwszą nagrodę w naszym zeszłorocznym Konkursie wielkanocnym. Może więc i inne oddziały tej organizacji pójdą za jej przykładem, co stanie się niewątpliwie zachętą i przykładem dla niestowarzyszonych pań. Względy ekonomiczne nie mogą tu odgrywać żadnej roli, bo nawet najskromniej zastawiony stół wielkanocny będzie posiadać swoistą wymowę w każdym polskim domu. Jeśli zaś chodzi o nasz Konkurs, to Redakcja Magazynu „As" nie stawia żadnych specjalnych wymagań co do zastawy stołu, dopuszczając do konkursu wszystkie nadsyłane zdjęcia.

Fotografje najpiękniej zastawionych stołów będą wyróżnione przez Jury redakcyjne, które przyzna nagrodzonym piękne upominki. Wykaz tych upominków podamy w najbliższych numerach »Asa«. Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 30 kwietnia b. r. Do konkursu przyjęte będą zdjęcia technicznie dobrze wykonane i odbite na błyszczącym papierze. Zostaną one zamieszczone na łamach Magazynu »As«, a w numerze 19-tym z dnia 8 maja b. r. ukaże się wynik Konkursu.

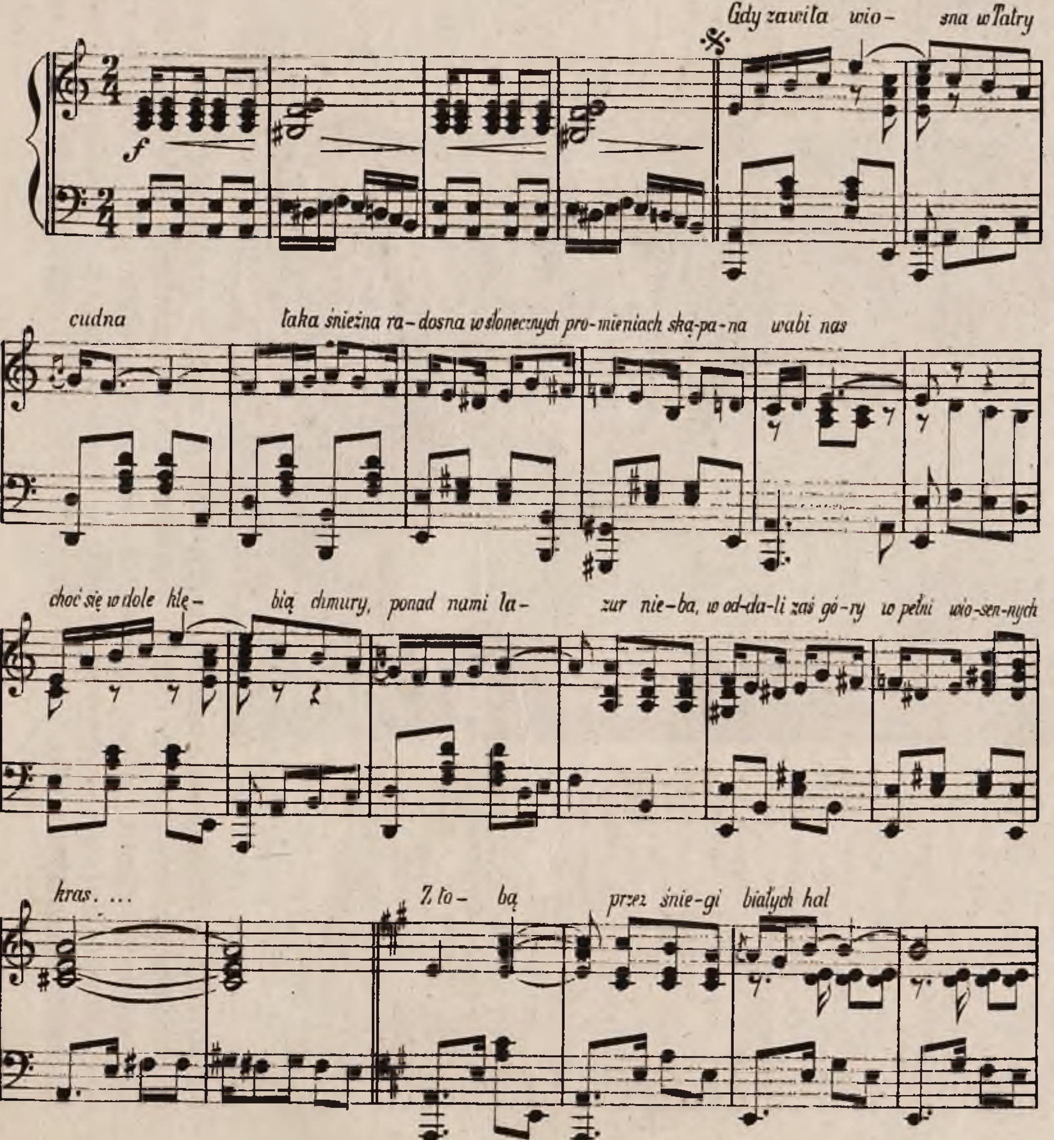
REDAKCJA MAGAZYNU »AS«

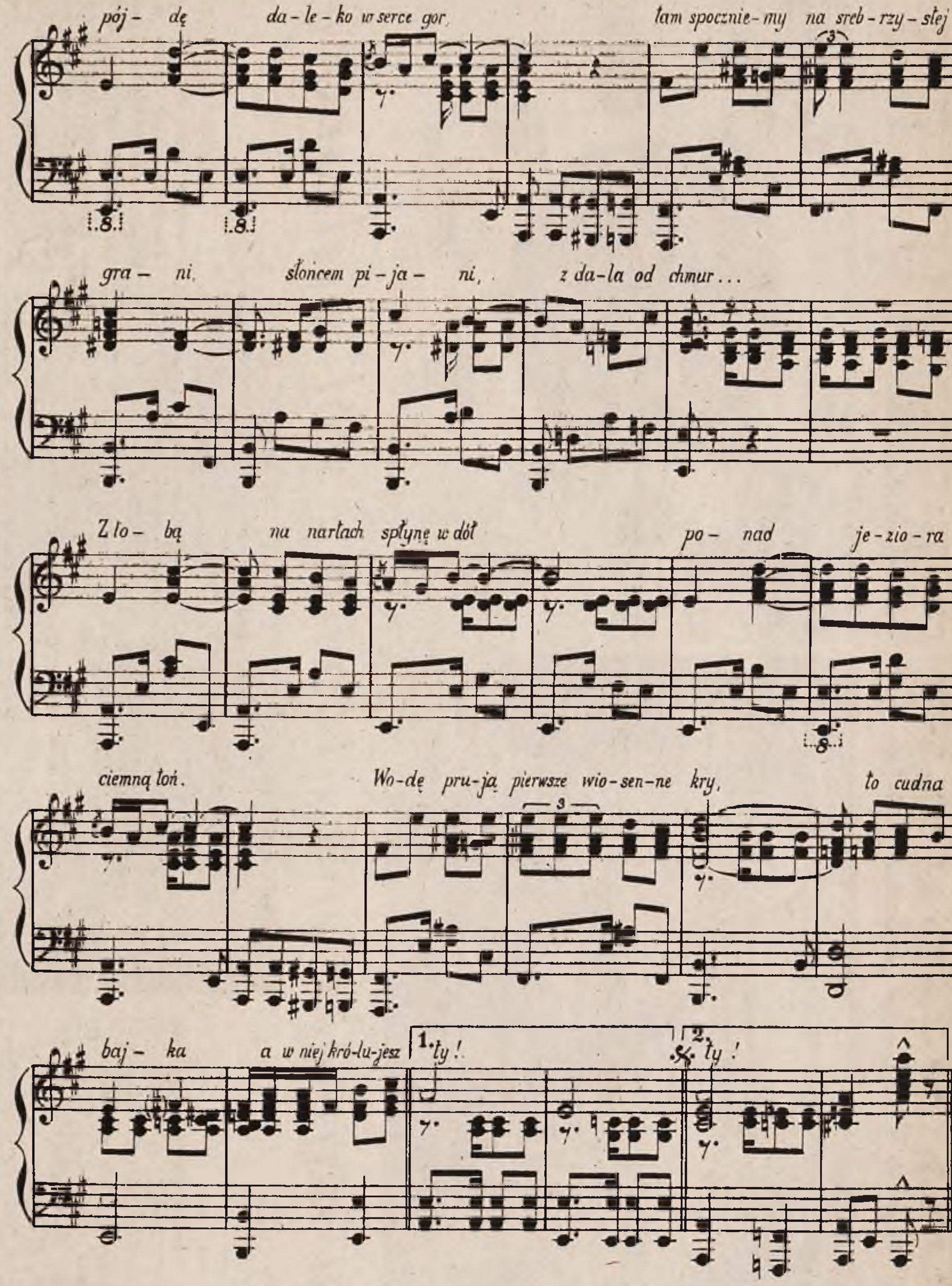
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Z Tobą...

TANGO Z FILMU „WIOSNA NARCIARZY"

SŁOWA I MUZYKA:
WŁADYSŁAW BUGAYSKI





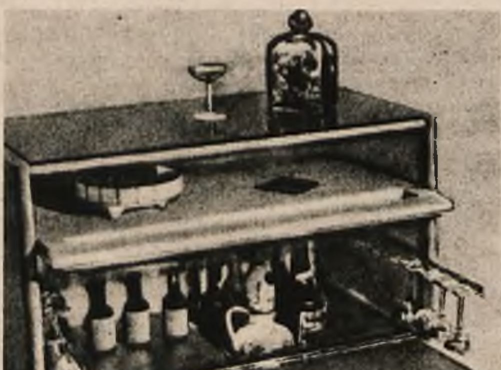
GDY SŁUŻĄCA MA „WYCHODNE"...



Podczas wielkich przyjęć, jakie obecnie coraz rzadziej organizowane są w przeciętnych domach, trudno obejść się bez służby, która obnosi potrawy, a usługując przy stole czuwa nad tem, aby nikt z gości nie miał pustego talerza czy kieliszka. Ludzie coraz częściej dochodzą do przekonania, że można urządzić równie sympatyczne zebrania towarzyskie, urozmaicone nawet smaczną kolacją, obchodząc się zupełnie bez usługi przy podawaniu potraw. Jest to wówczas możliwe, gdy zgóry się powie, że goście obsługują się sami, uprzedzeni, iż jest to dzień, w którym służąca ma „wychodne".

Przyjęcie takie posiada specjalny urok. Wskutek nieobecności służby jest ono może nawet sympatyczniejsze, bo mniej krępujące, a wywołuje zawsze doskonały humor u biesiadników, którzy siedząc wokół stołu, sami z rąk do rąk podają sobie półmiski, lub też krążą po jadalni i na stojąco spożywają smaczne kąski, przygotowane na specjalnym stoliku na kółkach, na którym przyjechały z kuchni.

Naturalnie, że przygotowanie takiego przyjęcia wymaga drobiazgowych przygotowań poprzedniego dnia, lub też w ciągu przedpołudnia w dniu zebrania. Tu już nie możnaby się obejść bez pomocy służącej.



Bar domowy, umieszczony w ozdobnej szafce.



Podręczny bar, wbudowany w kredens.

Pani domu, obmyśliwszy wcześniej wszystkie szczegóły zastawy, wydać musi odpowiednie zarządzenia co do zakupów, a następnie sama musi przypilnować wykonania potraw i przygotowania ich na półmiskach, kloszach, tackach i paterach. Również trzeba zaopatrzyć w odpowiednie napoje bar domowy, ukryty zazwyczaj dyskretnie w jednej ze ścian jadalni, lub gabinetu pana domu, albo też wbudowany poprostu w kredens. Istnieją też t. zw. bary na kółkach, które wozi się po pokojach i te może są najpraktyczniejsze.

Podstawą i wstępem do kolacji podczas takiego przyjęcia bez służby będą naturalnie rozlicznego gatunku kanapki. Forma ich stanowi zawsze najlepszy sprawdzian gustu i umiejętności pani domu. Dalsze potrawy— to umiejętnie przyrządzone porcje drobiu lub dziczyzny, zimne mięsa i ryby w majonezie i w galarecie, sałatki przyrządzone na wszelkie możliwe sposoby, pasztety i różne sosy.

Osobny rozdział — to ciasteczka i torty, spożywane do herbaty. Te zwykle stoją na odpowiednich kloszach na kredensie, już zgóry przygotowane w jadalni. Można też na takiem przyjęciu improwizować i ciepłe dania, zwłaszcza np. barszcz lub buljon jako wstęp do kolacji. W tym wypadku musimy posługiwać się elektrycznym grzejnikiem.

W mniejszych mieszkaniach opisany system przyjęć jest o wiele wygodniejszy od zasiadania przy jednym stole, obsługiwanym przez służbę. Goście, rozproszeni po pokojach, mogą mieć tu i tam przygotowane stoliki z zastawą, przez co unika się gremjalnego „chodzenia do stołu" i wynikającego stąd często zamieszania w małym pokoju. A już przyjęcia brydżowe, kiedy nikt z grających nie da się oderwać od zielonego stolika do najsmaczniejszej nawet kolacji, byłyby nie do pomyślenia w innych warunkach. Tak stolik na kółkach podjedzie po kolei do każdego z partnerów, z których przynajmniej „wychodzący" może spokojnie oddać się rozkoszom kulinarnym, przygotowanym pracowicie przez gościnną panią domu.

PRZEPISY DLA TWEGO BARU:

Gin-Zane-Cocktail
1/3 cinzano (czerwone), 1/3 cinzano dry, 1/3 ginu i mały kieliszek pomarańczówki wytrawnej.

Gin-Cocktail
1/2 ginu, 1/2 francuskiego wermutu i po małym kieliszku marasquino i wytrawnej pomarańczówki.

Dry Martini-Cocktail
Napełnić shaker w równych częściach ginem i francuskim wermutem i dodać mały kieliszek angustury, oraz kilka kropel soku cytrynowego. Dobrze wymieszać i wrzucić jedną oliwkę.

Martini półsłodki
1/2 ginu, 1/4 francuskiego wermutu, 1/4 włoskiego wermutu. Dla aromatu dodać kilka kropel Bolsa „Curaçao triple sec".





Opis takiego przyjęcia byłby napewno niekompletny, gdybyśmy zapomnieli o zawartości domowego baru. Tę musimy przygotować niemniej starannie od kanapek i zimnych przekąsek. W wielu domach repertuar alkoholowy wieczoru ogranicza się do jednego lub najwyżej dwóch gatunków wódek i w najlepszym razie jakiegoś wina. Tymczasem na Zachodzie trudno sobie wyobrazić przyjęcie bez cocktailu, o którym tam mówią, że jest powitalnym trunkiem dla gości. Podaje się go przed jedzeniem, bo on to właśnie ma pobudzić nasz apetyt i za jednem uderzeniem tętna wprowadzić nas w dobry humor. Wszystko jednak zależy od sposobu przyrządzenia tego „boskiego" trunku. Dlatego nie od rzeczy będzie, gdy przytoczymy tu parę uwag i informacyj na ten temat.

Cocktail jest mieszaniną różnych alkoholi i pobocznych ingredjencyj. Historja powstania tego trunku przedstawia kartę zupełnie niezapisaną. W krajach północnej Europy, a więc przedewszystkiem w Rosji i Szwecji oddawna przyrządzano zimny poncz i napoje, będące mieszaniną wódek i kremówki. One to na terenie europejskim słusznie mogłyby pretendować do miana pierwszych cocktaili. Właściwy jednak cocktail pochodzi bezwątpienia z Ameryki i kolonij angielskich. Klasyczna recepta amerykańska obejmowała czystą wódkę, angusturę, cukier, sok cytrynowy i lód. W ciągu lat wprowadzono jako główne składniki cocktailu wermut i gin, dodając im sok z cytryny i pomarańczy oraz kilka kropel angustury. Tę dopiero mieszaninę umieszczano w t. zw. shakerze i przez potrząsanie razem z lodem uzyskano płyn o odpowiedniej temperaturze, który nalany do płaskiego kieliszka, podaje się w Ameryce z wiśnią lub oliwką.



Stolik na kółkach umożliwia szybkie przewiezienie do salonu przygotowanych w kuchni potraw i naczyń.



Pan domu, urządzając sobie bar, nie powinien przesadzać w doborze wielorakich składników cocktailowych i tem samem współzawodniczyć z zawodowym barmanem, którego stać na wykonanie każdej recepty, jakiej tylko zażąda gość danego lokalu. — W domu prywatnym posługiwanie się zbyt wielką ilością flaszek jest nawet nie do pomyślenia, choćby z uwagi na szczupłość pomieszczenia podręcznego baru. Radzimy więc zaopatrzeć się w następujące niezbędne alkohole i ingredjencje: 1) dwie flaszki wermutu (francuskiego i włoskiego). 2) flaszkę ginu. 3) małą flaszkę angustury. 4) małą flaszkę jakiegoś likieru. 5) cytryny i pomarańcze. 6) szklankę wiśni i oliwek. 7) drobno tłuczony lód. „Shaker", czyli naczynie do mieszania cocktaili, nie musi być ze srebra. Istnieją stosunkowo tanie shakery aluminjowe, a w końcu jeśli i takiego zabraknie, można poprostu użyć do mieszania dwóch szklanek, przyczem miejsce złożenia ich obwiązuje się serwetą.

Scott

Jazda na nartach w „salonach piękności"

Wielce atrakcyjną nowość wprowadziły u siebie wielkie salony kosmetyczne Nowego Jorku, Londynu, Paryża i Zurychu. Są to bardzo pomysłowe aparaty, umożliwiające przez cały rok jazdę na nartach w... salonach piękności. Piękna pani, korzystająca z tych urządzeń, będzie odtąd znajdowała się w pełnej formie i kondycji fizycznej nawet w lecie, odbywając na tych aparatach t. zw. suchą zaprawę narciarską. Aparat wynalazła i opatentowała pewne znana amerykańska kosmetyczka, właścicielka renomowanego salonu piękności w Nowym Jorku, będąca równocześnie zawołaną sportsmenką. Maszyna jest bardzo podobna do roweru w swej budowie, a zamiast pedałów posiada króciutkie narty z autentycznemi wiązaniami. Oczywiście niema tam żadnego siodełka, bo ćwiczenie musi odbywać się w pozycji stojącej, względnie lekko pochylonej, przypominającej postawę w czasie jazdy na nartach. Budowa aparatu zmusza trenującą na nim do utrzymywania stale idealnej równowagi, co — jak wiemy — jest podstawowym wymogiem jazdy na nartach. Pozatem aparat wyrabia u początkujących, a wzmacnia u zaawansowanych, te wszystkie mięśnie, które pracują w czasie uprawiania sportu narciarskiego. Licznik, połączony z kołem rozpędowem, umożliwia kontrolę szybkości fikcyjnej jazdy narciarki. Pod jednym tylko względem ćwiczenie na aparacie treningowym różni się od prawdziwej jazdy na nartach. Otóż rozpoczynając trening wśród czterech ścian salonu piękności, pani używać musi kijków narciarskich, posługując się niemi w celu utrzymania równowagi. Po nabraniu wprawy kijki idą w kąt, a wiemy, iż bez nich trudno się obejść w terenie.

Zygmunt Borzęcki (Davos).



Imitacja nart przy aparacie posiada normalne wiązania.



Początkowo dla zachowania równowagi trzeba podpierać się kijkami.



Po pewnym czasie można już zachować równowagę bez pomocy kijków...

BO NA WIOSNĘ DESZCZ •

PADA...

Wiosna, jak każda zresztą rzecz na tym niedoskonałym świecie, ma dwa oblicza, skrajnie do siebie niepodobne. Jedno — uśmiechnięte najsłoneczniejszym uśmiechem, drugie — zapłakane, smutne i złe. Poeci, którzy zawodowo lubią przesadzać i koloryzować (czyż bez tego byliby poetami?!) — z reguły sławią tylko to pierwsze jej oblicze, pisząc entuzjastycznie o słońcu, ciepłych powiewach, błękicie nieba i świeżej zieleni, przetkanej jak najbarwniejszy dywan tysiącem kwiatów... Milczą taktownie a uparcie o tem, że wiosna potrafi też być złośliwa i przykra i że chowa w zanadrzu także i ulewy, chłody nagłe a przejmujące, a nawet smutne szarugi, jakże żywo imitujące jesień...

Wychodząc z domu w roześmiany słońcem poranek, strojne w jasny wiosenny kostjum i ozdobiony kwiatami kapelusik dopiero co wczoraj wyłowiony u Mme Agnes czy Lilians, nie wiemy nigdy czy Pani Wiosna nie zmieni swego kapryśnego humoru (jakże w tem do nas jest podobna!) i czy za godzinę nie zaskoczy nas porywistym wichrem lub rzęsistą ulewą... Trzeba o tych ewentualnościach pamiętać i zawsze być przygotowaną na zmienność wiosennej aury.

Toteż okrycia zabezpieczające od wiosennych i letnich deszczów, od bardzo dawna stanowią konieczną i ważną pozycję w garderobie pięknej pani. Tylko że dawniej wychodzono z założenia, że w dżdżyste dnie niema co sobie głowy zawracać elegancją i zaniedbywano najprymitywniejszą kokieterję, mając na względzie jedynie praktycz-

Na prawo:
Oryginalna peleryna z lnu bouclé, zapinana z przodu na t. zw. błyskawiczny zamek.
Fot. Imre v. Santho.







Efektowny płaszcz deszczowy z impregnowanego jedwabiu.
Fot. Imre v. Santho



ność i prawdziwa „nieprzemakalność" stroju. Pamiętamy wszak jeszcze wszyscy te straszne, niezgrabne i do zgrzebnych „worków" podobne przedwojenne „gumowce" i staromodne „mackintoshe", szeleszczące niemile i pachnące zdala surową gumą. Prawda, były w dobrym, „przedwojennym" gatunku, osłaniały postać kobiecą aż po końce bucików, ale najpiękniejsza elegantka wyglądała w nich jak pokutnica z przytułku dla ubogich.

A te parasole solidne i rozległe jak przenośne altany, czarne, kłotowe, rzadko i tylko u nielicznych „lekkomyślnych" kobiet jedwabne, rozpięte na długich, cienkich i szpiczastych laskach!! Pożal się Boże, jak dalekie były te wszystkie deszczowe rekwizyty od najprymitywniejszych pojęć estetycznych!

Powojenna kobieta rychło zbuntowała się przeciw tej tyranji praktyczności nad elegancją. Spojrzawszy krytycznym wzrokiem w lustro, otrząsnęła się energicznie na swój własny wygląd i postanowiła, że i w najgorszą pogodę potrafi być ładną i elegancką.

Deszcz leje — chmury jak olbrzymie szare ptaki przesłaniają zazdrośnie wiosenne niebo — na trotuarach i na asfalcie jezdni ulicznej płyną strugi wody — brr... jakże ponuro i brzydko! Tembardziej nie można sobie jeszcze psuć humoru, wkładając nietwarzowy ceratowy (były wszak takie!) kapelusz i niezgrabny, brudnozielonawy „gumowiec". Trzeba wyjść i tym razem zwycięsko i zdobyć się na czarujący wygląd — nawet pod parasolem!

Dziś już nietrudno nam wyglądać estetycznie i elegancko, nawet w najbardziej deszczowe dnie. Te wszystkie zgrabne, lekkie, kolorowe jak kwiaty płaszcze od deszczu nie przypominają już w niczem owych pozbawionych wdzięku poprzedników. Wykonane są z ślicznych impregnowanych jedwabi, z przejrzystych, niby szkło celofanów, z cieniutkiej kolorowej błony, zw. żabią skórą, z mieniących, wytwornych w kolorach tkanin angielskich zw. Burberry, a nawet — na letnie wycieczki — z impregnowanego, lnianego płótna. Ostatnio widziałam na ulicach Berlina śliczne nieprzemakalne płaszcze z specjalnie preparowanego aksamitu, bardzo twarzowe i wytworne, a stosowniejsze na wiosenne chłody od lekkich jedwabi.

Jeśli chodzi o kolory, to dawno już na dnie deszczowe przestały obowiązywać owe brzydkie i ponure odcienie beige i khaki. Zastąpiono je żywemi kolorami, często używając materjałów w kratę szkocką czy w pasy, swą barwnością i rozmaitością rozjaśniających szary wygląd miejskiej ulicy pod strugami deszczu. Najmodniejsze są dziś płaszcze i peleryny od deszczu połączone z praktycznemi kapuzami, które — gdy przestaje padać deszcz — można łatwo spuścić, a w razie ulewy zabezpieczają doskonale kapelusik i fryzurę. Taki komplet z białego impregnowanego jedwabiu, wykończony kolorową czy też ciemną wypustką, wygląda młodociano i wdzięcznie.

Praktyczny zamek błyskawiczny zyskał przy okryciach na deszcz szerokie zastosowanie. Pozwala on szczelnie zapiąć je aż pod brodę i —



uniknąć żmudnego zapinania szeregu guzików, naco kobieta nowoczesna niema podobno czasu, a w każdym razie — cierpliwości!

Parasol nowoczesny jest elegancki i praktyczny, a zawsze dobrany do okrycia i czapeczki czy kapelusza. Lekki, króciutki i wygodny, zabiera niewiele miejsca, a jeśli jest składany — można go nosić nawet w torebce!

Prócz parasoli jedwabnych w gustowną kratę czy w pasy, coraz bardziej rozpowszechniają się parasole z przejrzystych kolorowych błon, osłaniające od deszczu, a jednak nie zasłaniające ładnej główki kobiecej. Przy dzisiejszym wzmożonym ruchu ulicznym w wielkich miastach, ma to tę wielką zaletę, że pozwala widzieć wszystko co się naokoło dzieje i nie doprowadza do niemiłych karambolów i wpadania na innych przechodniów.

Na wsi, na week-endowych wycieczkach podmiejskich, czy w górach — odpowiedni strój od deszczu posiada zasadnicze znaczenie. Ulewa przejdzie niedługo, a jakże przykro potem chodzić godzinami w mokrych rzeczach, zanim będziemy mogły się osuszyć w schronisku czy przydrożnym zajeździe. Dlatego, gdy wybieramy się na dłuższą turę, dobrze jest uzbroić się w lekką, przewiewną a nieprzemakalną wiatrówkę i w praktyczny „Hosenrock" z nieprzemakalnej gabardyny. Zastąpić to może również obszerna peleryna z kapiszonem, zamykana na zamek błyskawiczny, tak lekka i cienka, że można ją zrolować do plecaka, gdzie niewiele więcej zajmie miejsca niż większa chusteczka do nosa.

Nietrudno nam się będzie zabezpieczyć przed zmiennością wiosennej pogody. Nie popsuje nam ona planów ni nastroju, gdy ładnie i celowo ubrane, potrafimy jej stawić czoło bez szwanku dla naszych sukien, naszych loków i kunsztownego maquillage'u. A gdy po chwili rozpierzchną się chmury i deszczem spłukane słońce wyjrzy zza nich triumfujące i uśmiechnięte, przechodząc przed lustrzaną taflą sklepowej wystawy będziemy mogły popatrzeć na siebie bez wstrętu i nie powstydzimy się naszej zgrabnej i eleganckiej sylwetki, nie oszpeconej ciężkim gumowym płaszczem i wielkim, niezgrabnym parasolem.

Pogoda może być zmienną — wiosna może być czasem zapłakana deszczem i osnuta chmurami — ale piękna pani musi zawsze być jednako elegancką i ładną...

Lady Like

Na lewo:

Trzyćwierciowy płaszczyk z białej wełny z nakładanemi kieszeniami. — Sukienka wełniana w poprzeczne białe paski.

Fot. Imre v. Santho.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

CONSOMME DO ROSOŁU. 10 dkg szpiku wołowego, wymoczonego i oczyszczonego z żyłek, przeciera się przez sito i stawia na chwilę w cieple, gdzie zmięknie. Następnie dodaje się 2 dkg masła i uciera razem, dodając po jednemu 3 żółtka i po trosze rozmoczone w mleku i dobrze wyciśnięte dwie małe bułeczki. Dobrze utartą posoloną masę miesza się ostrożnie z pianą z 3 białek. Małe foremki blaszane, natarte masłem i wysypane bułeczką, napełnia się do połowy masą i piecze lub gotuje na parze, wstawione do płaskiego naczynia z małą ilością wody. Również dobre, choć mniej wystawne jest to consommé, upieczone w całości i podane do rosołu pokrajane w kostkę.

ZIMNE SOSY CHRZANOWE DO SZYNKI. 1. **Migdałowo-chrzanowy:** 10 dkg parzonych migdałów miele się i tłucze, następnie w moździerzu z paru łyżkami wody. Utłuczone migdały miesza się z 2 twardemi żółtkami, dodaje łyżkę octu i oliwy, soli i cukru troszkę, wkońcu dwie łyżki tartego chrzanu.

2. **Sos jajeczny.** Dwie małe czerstwe bułeczki, rozmoczone w rosole, wyciska się i przeciera przez sito wraz z kilku (3—4) twardemi żółtkami. Do masy tej dodaje się: 2 łyżki oliwy, szczyptę soli, cukru i białego pieprzu, wreszcie 4 łyżki chrzanu i posiekane białka. Sos powinien być gęsty; po wierzchu posypuje się go szczypiorkiem.

3. **Sos jabłeczny.** Dużą aromatyczną renetę obiera się i dzieli na cząstki, które się natychmiast wrzuca do wody z octem, aby pozostały białe. W międzyczasie zagotowuje się 1/4 litra wody z dodatkiem 4 dkg cukru, soku z połówki cytryny oraz troszkę skórki cytrynowej. Na gotującą się wodę z cukrem rzuca się osączone z wody jabłka i gotuje aż zmiękną, wtedy rozciera się je lub przeciera przez sito wraz z małą bułeczką, rozmoczoną w zimnej wodzie i wyciśniętą. Sos zaprawia się solą, cukrem i oliwą oraz w razie potrzeby octem. 4 łyżki sparzonego wrzącą wodą chrzanu dodaje się na samym końcu, tj. tuż przed podaniem do stołu.

4. **Sos amerykański.** Na skórce dużej pomarańczy ociera się 12 dkg kostkowego cukru. Cukier ten wraz z sokiem z pomarańczy i 1 cytryny oraz kilku łyżkami wody, pozostawia się w miseczce pod przykryciem. Tymczasem gotuje się 6 jaj na twardo, wyjmuje żółtka i przeciera je wraz z dwiema rozmoczonemi w wodzie i wyciśniętemi bułeczkami. Do masy tej miesza się odstawiony poprzednio sok pomarańczowy z cukrem, który się tymczasem dokładnie w soku rozpuścił. Dalsze dodatki stanowią: 4 łyżki oliwy, troszkę soli i octu oraz 2 łyżki chrzanu. O ileby sos wypadł za gęsty, można go rozprowadzić wodą pozostałą z wyciśniętych bułeczek.

ZIELONY GROSZEK PUSZKOWY DO GARNIROWANIA PIECZYSTEGO. Otworzoną puszkę z zielonym groszkiem ogrzewa się wstawioną w gorącą wodę, następnie przesypuje się sam groszek bez wody do ryneczki, dodaje łyżkę deserowego masła, pół łyżeczki cukru i soli i zostawia na ogniu tylko tak długo aż się masło rozpuści, następnie poprósza się łyżką mąki, zagotowuje i odstawia na garnek z gorącą wodą. Półmisek z pieczystem otacza się krokietkami z bułki, na które nakłada się po łyżce groszku, formując mały stożek.

RÓŻE WIELKANOCNE. 15 dkg masła uciera się na pianę, dodają 4 żółtka, 10 dkg cukru, łyżeczkę soli, trochę skórki cytrynowej, wyrośnięty rozczyn z 2 dkg drożdży, 30 dkg mąki i letniego mleka tyle, aby ciasto nie było zbyt wolne. Doskonale wybite łyżką ciasto stawia się do ciepła, aby wyrosło do podwójnej wysokości, poczem się je przerabia jeszcze raz łyżką, rozwałkowuje na desce, smaruje masłem i posypuje suto cukrem, zmieszanym z rodzynkami, tłuczonemi migdałami i cynamonem. Zwinięte w niezbyt gruby rulon ciasto, kraje się w kawałki na szerokość dłoni i układa je na masłem natartej blaszce przekrojoną stroną do spodu, nie zapominając przesmarować masłem wszystkich stron, aby ciastka łatwo można było po upieczeniu rozdzielić; ciasto stawia się ponownie w cieple i na pół godziny, poczem smaruje się brzegi ciastek żółtkiem i piecze je około godzinę w gorącym piecu. Po wyjęciu z pieca rozdziela się pojedyncze kawałki, osypuje lekko cukrem z wanilją i ustawia na talerze, przekładając gałązkami zieleni.

LUKIER POMADKOWY, służący do polewania mazurków i tortów, sporządza się w następujący sposób: 20 dkg miałkiego cukru polewa się sześcioma łyżkami stołowemi wody i gotuje tak długo aż kropla spadająca z łyżki ciągnie za sobą nitkę. Wtedy wylewa się cukier na miseczkę, dodaje sok z całej cytryny i uciera go płaską łyżką tak długo, aż stanie się całkiem biały. Zabarwiać go wtedy można barwnikami spożywczemi na dowolny kolor. Lukier, wylany na powierzchnię mazurka lub tortu, wygładza się nożem, umaczanym w gorącej wodzie. Ten sam lukier zmienić możemy na ponczowy przez dolanie kieliszka rumu. Chcąc mu nadać odmienny smak likierem maraschino, curaçao itp. nie należy już dodawać soku cytrynowego.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Bakelit ma wielorakie zastosowanie w gospodarstwie domowem. Obok widoczne wiaderko, również sporządzone z bakelitu, ma tę zaletę, że jest lekkie i „ciche" tj., że upadłszy, nie powoduje hałasu, co jest bezwątpienia również zaletą, gdyż, zwłaszcza w gospodarstwie domowem, pełnem pośpiechu, dąży każda gospodyni do ciszy i spokoju.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 16 **Kwiecień** 30 dni



NIEDZIELA **10** Ezechiela	Rosół z groszkiem ptysiowym. Buletki z mięsa rosołowego w ostrym sosie. Kapłon nadziewany z kompotem. Biszkopt z kremem kawowym. Kolacja: Cielęcina w majonezie.
PONIEDZ. **11** Leona p.	Zupa jarzynowa przecierana z grzankami. Salsefia w białym sosie. Polędwica po angielsku w garniturze z jarzyn. Pierożki z serem. Kolacja: Kaszka krakowska na grzybkach.
WTOREK **12** Juliusza p.	Pomidorówka z ryżem. Bułczany knedel z sosem śmietanowym. Kotlety cielęce z zieloną sałatą. Kompot mieszany. Kolacja: Budyń jarzynowy.
ŚRODA **13** Justyny p.	Barszcz z fasolką. Kotlety ziemniaczane z grzybkowym sosem. Ryba w sosie sardelowym z makaronem. Dołeczki z powidłami. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
CZWARTEK **14** Wieczerza P.	Zupa grzybowa z płatkami. Faszerowane jaja z krokietkami ziemniaczanemi. Omlety z kaszką krakowską zmieszaną z serem. Kompot z rabarbaru i jabłek. Kolacja: Makaron z sosem pomidorowym.
PIĄTEK **15** W. Piątek	Perłówka na grzybkach. Kotlety śledziowe z sałatą z kiszonej kapusty. Ryba w galarecie. Kompot. Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.
SOBOTA **16** W. Sobota	Zupa rybna z grzankami. Śledzie marynowane, ...iaczki w mundurkach. Przyjęcie po Rezurekcji z przygotowanych na stół Wielkanocny potraw.



HOCKI-KLOCKI

PRZEWIDUJĄCA.



— Bliźniaki! Ma pani szczęście! Jeżeli jedno z nich zostanie gwiazdą filmową, drugie będzie mogło je dublować! („Humorist").

NA GRANICY.



— Takie olbrzymie cło na alkohole? Może pan mi wskaże jakiś cichy kącik, abym mógł je wypić na miejscu! („Humorist").

DWA PUNKTY WIDZENIA.



— Nie jesteś logiczny, Adolfie: najprzód nazywasz mię małą dziewczynką, a potem, gdy usiądę panu na kolanach, zaraz na mnie krzyczysz! („Il travaso delle idee").

Rozwiązania Nru z 14-go.

ILE MAM LAT?

Mam 22 lata (mój brat — 35, a ojciec 61).

ZAGADKI.

Pawełek zgadł 9 zagadek, otrzymując za n 45 punktów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PAN KANAREK I PAN WRÓBEL.

Pan Kanarek ma obecnie 36 lat. Ma on dwa razy więcej lat, niż miał pan Wróbel wtedy, gdy pan Kanarek miał tyle lat, ile teraz ma pan Wróbel.
Ile lat ma pan Wróbel?

ZADANIA Z CYFRAMI.

Cyfry 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 0 należy napisać w dwóch linjach, jedna pod drugą, w każdej po pięć cyfr — ale w ten sposób, by po odjęciu cyfr w dolnej linji od cyfr wypisanych u góry, otrzymać możliwie najmniejszy wynik.

SKŁADKA NA BIEDNE DZIECI.

Sześciu panów dało na pewien dobroczynny cel po 10 zł. każdy. Siódmy natomiast dał o 3 zł. więcej niż wynosiła średnia datku siedmiu panów. Ile złotych na ten cel dał siódmy pan?

MNOŻENIE.

Colo za liczba, która pomnożona kolejno przez 1, 2, 3, 4, 5 i 6 daje iloczyny zawierające te same cyfry, ułożone w tej samej kolejności?

W STOŁOWNI.

W stołowni pani Wróblowej jeden z siedmiu gości jadał obiad codziennie, drugi co drugi dzień, trzeci co trzeci itd. — aż do siódmego, który się u niej stołował co siódmy dzień. Co ile dni wszyscy stołownicy schodzą się na obiedzie u pani Wróblowej?

TRZY LICZBY.

Proponujemy Czytelnikom znaleźć trzy takie liczby, które dodane do siebie lub też pomnożone przez siebie, dają ten sam wynik.

UKŁADANIE KWADRATU.



Proponujemy czytelnikom tak ułożyć figury, które przedstawia rysunek, aby otrzymać z nich kwadrat.

PŁÓTNO ARTYSTY.

Artysta chce otrzymać taki kawałek płótna, na którym mógłby namalować obrazek o powierzchni 72 cm² i zostawić u góry i u dołu margines szeroki na 4 cm, a z boków na 2 cm. Jakie są wymiary najmniejszego płótna, na którym możnaby w żądany sposób namalować obrazek?

MOTORÓWKA.

Motorówka płynie z biegiem rzeki z szybkością 15 km. na godzinę, a wgórę rzeki z szybkością 10 km na godz. Jeżeli motorówka płynęła wgórę rzeki o 4 godziny dłużej, niż wdół, to ile przepłynęła kilometrów?

Dokończenie ze str. 8-mej.

Usposobienie ptaków często przebija się w ich wzroku. Prócz spojrzeń łagodnych i lękliwych, można zaobserwować bystre i śmiałe, niekiedy bezwzględne, a nawet okrutne.

Patrząc na jastrzębia lub innego drapieżcę, zdajemy sobie sprawę, jak nieubłaganym musi być ten ptak dla swej zdobyczy. Spokojny i opanowany, pełen dumy, nie zna litości dla swej ofiayr.

To tylko kilka przykładów tej bogatej galerji typów olbrzymiego królestwa ptasiego, nie mówiąc o najróżnorodniejszych ciekawych postaciach innych zwierząt.

Niejednokrotnie obserwując ludzi, dopatrujemy się w ich twarzach, spojrzeniach lub ruchach, cech charakterystycznych dla niektórch zwierząt. Stąd nasunęły się porównania o spojrzeniu bazyliszka, o wardze zajęczej, nosie orlim lub krogulczym, o paznokciach podobnych do szponów ptaków drapieżnych, o zalęknionych oczach łani, o ptasim wyrazie twarzy i wiele innych podobnych.

I jak z wyrazu oczu człowieka oraz jego twarzy można nieraz wiele wyczytać o zaletach lub wadach jego charakteru i umysłu, tak podobnie niekiedy i wyraziste fizjognomje ptaków przemawiają do nas żywo, pozwalając czasem poznać ich usposobienie i właściwości. *Z. M.*

USTĘPLIWA ŻONA.



— Jakto, pogodziłaś się z mężem?
— Tak, najprzód należy wybaczać błędy bliźnim, a następnie mój mąż stał się znaną osobistością! („Humorist").

LOGIKA.



— Ależ mój kochany, to naprawdę nie moja wina! Co za idjota postawił to drzewo na środku drogi! („Humorist").

To warto poznać..



WARSZAWA. Teatr Malickiej wystawił sztukę Jana Adolfa Hertza pt. **„Jastrząb wśród gołębi"**. Nazwa jastrzębia oznacza tu człowieka mocnego, typ nieraz spotykany w literaturze w okresie Młodej Polski. Zdobywa on wszystko siłą, lecz załamuje się wobec „gołębiego" serca. Dobrą rolę stworzył Sawan (zarazem reżyser widowiska). Obok niego należy wymienić Malicką, Larys-Pawińską, Zawistowskiego, Dobrowolskiego.

Premjera komedji **„Dar poranka"** G. Forzana w Teatrze Narodowym była połączona z jubileuszem Antoniego Różyckiego, który wyposażył swą rolę (urodziwego i szczęśliwego zdobywcę serc) we wszystkie możliwe atuty. Karolina Lubieńska, „która — jak się wyraził Boy dowcipnie — umiała bywać edypowym sfinksem i szekspirowską Julją", umiała dać coś z tego „w kieszonkowem wydaniu". Inne role wykonali pp. Bogdańska, Skonieczny, Relski. P. Gella błysnęła w epizodzie. Reżyserował Antoni Cwojdziński.

LWÓW. Celem uczczenia pamięci zmarłego dramaturga śp. Rostworowskiego wystawiono końcowe ogniwo trylogji dramatycznej **„U mety"**. Utwór ten wyreżyserował przybyły specjalnie z Warszawy K. Borowski. Z wykonawców wyróżnili się przedewszystkiem pp. Ankwicz-Szyjkowska, Madaliński, Machalski i Szyndler. **J.**

NOWE KSIĄŻKI.

KULISY RADJA. W maju ukaże się książka na temat radja p. t. **„Kulisy radjofonji"**, napisana przez Krzysztofa Eydziatowicza — kierownika Biura Studjów Polskiego Radja.

W książce tej autor przedstawia interesujące szczegóły, dotyczące radjofonji nie tylko polskiej, ale naszych sąsiadów, których anteny promieniują na terytorjum Polski. Książka składa się z pięciu części: 1-sza opisuje rolę radja w życiu ludzkości i pozycję gospodarczą, jaką zajmuje radjofonja w różnych krajach. Druga część poświęcona jest budowie programów radjowych i różnym zagadnieniom, związanym z programem. W części 3-ciej opisuje autor kulisy pracy, związanej z wykonywaniem programu. Część 4-ta poświęcona jest słuchaczom, ich charakterystyce: w tym rozdziale każdy słuchacz znajdzie swój „konterfekt". Ostatnia część zawiera opisy wielkich radjofonij zagranicznych: angielskiej, niemieckiej, sowieckiej i innych krajów.

Do **15-go kwietnia** cena tej wyczerpującej książki wynosi w przedpłacie tylko zł 3. Po tym terminie wynosić będzie 6 zł. „Kulisy radjofonji" można zamawiać, wpłacając do 15 kwietnia 3 złote na konto P. K. O. nr. 171 dla „Wydawnictwa książki o Radjo".

„Listek klonu". Marja Juszkiewiczowa. Przygody małej Polki w Japonji. Wyd „Bluszcz", Warszawa 1937. Autorka, przebywająca czas dłuższy w Japonji, wydała już cały szereg prac, opiewających Krainę Wschodzącego słońca. Ostatnią książkę tworzą dwa opowiadania: dzieje 10-letniej Irki, pozostawionej samej na łasce bogów w obcym kraju i „Pamiętnik małej Koreanki", zaprzyjaźnionej z rówieśniczką Polką.

Autorka umie zręcznie wpleść w fabułę swego opowiadania cały szereg opisów zwyczajów, legend, wierzeń, obyczajów dnia codziennego, które czynią tak obcą i daleką Krainę Kwitnących Wiśni bardziej bliską młodocianemu czytelnikowi. **(Kr. D-k).**

MARJA UKNIEWSKA: STRACHY. Utwór p. Ukniewskiej naturalistycznie odmalowuje świat kulis; opowiada wiernie z autobiograficzną odwagą i szczerością, romans mało inteligentnej z gruntu dobrej, raczej dziecinnej niż kobiecej, girlsy z aktorem, niepoprawnym histerykiem, o skomplikowanym charakterze. Opowiada wiernie ale i powierzchownie. Talent obserwacyjny autorki duży, lecz o zasięgu wyłącznie zewnętrznym, bez umiejętności i siły docierania w głąb psychiki człowieka i środowiska.

Rodzajem swym stają „Strachy" tuż obok „Zaklętych rewirów" Worcella. Ustępując im pod względem egzotyczności tematu i środowiska, górują nad opowieścią o zajęciach i przeżyciach kelnerów — żywszą, bardziej emocjonującą narracją, bogatszą galerją typów... Nie zapominajmy jednak, że „Zaklęte rewiry" mają także poważną wymowę społeczną: odsłaniając znojny trud kelnera, uczą szanować jego pracę, każą zastanowić się nad stosunkiem gościa do usługującego. W „Strachach" społeczne aspekty pracy girls i aktorstwa zostały pominięte trudy zajęć spłycone, a stosunek publiczności do świata aktorskiego, i naodwrót. potraktowała autorka wybitnie — naskórkowo.



Niedziela, 10 kwietnia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transm. nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
12.03 Poranek symfoniczny.
13.10 „Perygrynacja do Ziemi Świętej" — M. K. Radziwiłła Sierotki, recytacja prozy.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.35 Audycja dla wsi.
15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
16.05 Utwory Maurycego Moszkowskiego.
17.00 „Na dalekich morzach" — audycja muzyczno-słowna.
18.00 Audycja muzyki religijnej, transm. z kościoła ewangelicko-augsburskiego.
19.00 „Pokłon za zwycięstwo" — kompozycja słuchowiskowa.
19.40 Arje operetkowe w wyk. polskich śpiewaków (płyty).
21.15 Opowieść o Beethovenie — „Symfonja miłości".

Poniedziałek, 11 kwietnia.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Orkiestra rozrywkowa.
17.00 „Na szlaku 150 tysięcy volt od Mościc do Starachowic", pogadanka.
17.15 Koncert solistów.
18.10 Melodje włoskie(płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Dyskutujmy: „Stosunki finansowe w małżeństwie".
20.00 Koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, 12 kwietnia.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory Liszta w wyk. Simona Barera (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „O Jezusiku Frasobliwym", opowiadanie.
16.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
17.30 Ulubieńcy słuchaczów Polskiego Radja. Transmisja do Londynu.
18.45 Audycja dla wsi.
19.10 Wieczór literacki poświęcony Rostworowskiemu.
19.40 Recital skrzypcowy Wacława Kochańskiego.
20.10 „Stara baśń" — opera Zeleńskiego.

Środa, 13 kwietnia.

6.15 Audycja poranna.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „W ojczyźnie białego kotka" — pogadanka dla dzieci.
16.15 Wieniec pieśni ludowych pomorskich.
17.00 „Każdy Polak robi się żołnierzem" — odczyt.
17.15 Popularna muz. kameralna.
17.50 Służba wojskowa w Polsce niegdyś i dziś" — pogad.
18.10 Orkiestra Heinza Hupertza (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.20 Recital śpiewaczy Cecylji Izygrymówny — kontralt.
19.35 Prawo czytelnika i prawo pisarza.
20.00 Podróż po Morzu Śródziemnem — koncert rozrywkowy (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Henryka Sztompki.
21.45 Rozmowa rekolekcyjna.
22.00 Muzyka religijna.

Czwartek, 14 kwietnia.

6.15 Audycja poranna.
12.03 Audycja południowa.
15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży.
16.15 Koncert kameralny.
17.15 Męka Pańska w pieśni ludowej.
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 „Miguel Maniara" — misterjum O. Miłosza.
20.10 Recital fortepianowy Zofji Rabcewiczowej.
21.00 Filadelfijska orkiestra symfoniczna i G. D. Cunningam, organy (z płyt).
21.45 Rozmowa rekolekcyjna
22.00 Koncert Stowarzyszenia miłośników Dawnej Muzyki. — Transm. z Konserwatorjum Warszawskiego.

Piątek, 16 kwietnia.

6.15 Audycja poranna.
12.03 Audycja południowa.
15.30 „Ziemia, po której stąpał Zbawiciel" — audycja dla dzieci.
16.15 „W drodze na Golgotę" — pieśni wielkopostne.
17.00 „U stóp Krzyża" — audycja literacka.
17.25 Luigi Boccherini: „Stabat Mater" — oratorjum.
18.10 Gra kwartet Lenera (płyty).
18.45 Audycja dla wsi.
19.00 „Odpust Jerozolimski", transmisja z Rychtala.
19.50 Józef Haydn: „Siedem słów Jezusa Chrystusa."
21.00 „Historja o Męce Miłego Pana Jezu Krysta", słuchowisko według średniowiecznych pieśni i misterjów.
21.30 Koncert symfoniczny.
22.35 Motety (XV w.) w wykonaniu lwowskiego chóru solistów.

Sobota, 16 kwietnia.

6.15 Audycja poranna.
12.03 Audycja południowa.
15.30 „Pójdźmy za nim" — słuchowisko dla dzieci.
16.00 Stanisław Moniuszko: „Oto drzewo Krzyża" w wykonaniu chóru tow. śpiewaczego „Lutnia".
16.15 Utwory na skrzypce i organy. Transm. z Konserwatorjum Warszawskiego.
17.00 „Droga Krzyża i Zmartwychwstanie" — słuchowisko-misterjum.
18.00 Transmisja nabożeństwa Rezurekcyjnego z Katedry na Wawelu.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Wieczór wspomnień — koncert.
21.30 Pietro Mascagni: „Rycerskość wieśniacza".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.